

Adam Czesław
DOBROŃSKI

W SEJMIE
i na **URZĘDZIE**

*Dedykuję
najbliższym współpracownikom*

Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku

Białystok 1997

ISBN 83-901668-8-7

© Copyright by Adam Cz. Dobroński, Białystok 1997

Druk: Offset Print, Białystok, ul. Broniewskiego 14, tel. 512-886

ZAMIAST WSTĘPU

W tej broszurce przedstawiam niektóre dowody mej działalności poselskiej w Sejmie II kadencji. Nie jest to pełne sprawozdanie i nie składa się wyłącznie z tekstów wystąpień wygłoszonych podczas zebrań komisji i posiedzeń plenarnych. Chcę pokazać jedynie, co było najważniejszym przesłaniem moich poselskich poczynań w Warszawie, jakim sprawom i problemom poświęciłem znaczną część czasu w minionych czterech latach.

*Adam Czesław Dobroński
poseł PSL z woj. białostockiego,
od 25 III 1995 r. kierownik
Urzędu ds. Kombatantów
i Osób Represjonowanych*

O TRADYCJACH NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH

Temat to dość często brany na warsztat, nie tyle jednak przez historyków, co raczej osoby z szeroko rozumianych kręgów wychowawców, uczestników i świadków zdarzeń historycznych, polityków. Niemal zgodnie uważa się, że tradycje te należy kultywować, wzbogacać, ale i poddawać stałej weryfikacji, oczyszczać od fałszu. Sprawą arcyważną jest szukanie nowych sposobów przekazu, by dotrzeć do młodszych pokoleń.

Dlaczego należy podtrzymywać tradycje niepodległościowe? Bez wątplenia leży to w interesie całego państwa, stanowi część racji stanu, bo podnosi prestiż kraju na zewnątrz, zwraca uwagę obywateli na kwestie obronności, przestrzega przed zagrożeniami, także wynikającymi z dezorganizacji życia wewnętrznego. Temu celowi służy zarówno ochrona symboli państwowych, promowanie bohaterów walk w obronie niepodległości, bądź starań o jej odzyskanie, formowanie katalogu cnót narodowych, tworzenie legendy niezwycięzonej armii, a przynajmniej jej niektórych formacji, jak i wprowadzanie do polityki zagranicznej wątków z historii, zachowywanie czujności wobec tradycyjnych wrogów, a uczuć przyjaznych wobec lojalnych i ofiarnych sprzymierzeńców.

Historycy zauważają, że im do odleglejszych wydarzeń są czynione odwołania, tym bardziej mają one charakter mitów narodowych i mniej są zgodne ze aktualnym stanem wiedzy o danej epoce, jej ludziach. Przykładem charakterystycznym w wymiarze ogólnopolskim mogą być wzorce z epoki piastowskiej i jagiellońskiej. Antyruski w swej wymowie kijowski Szczerbiec Bolesława Chrobrego ustąpił miejsca w powojennej konfiguracji politycznej wojom Bolesława Krzywoustego stawiającym zwycięsko czoła siłom germańskim, zmierzającym ku „odwiecznie polskim wybrzeżom” Bałtyku. Bardzo pouczające są zmiany w odczytywaniu roli mitu niepodległościowego Jasnej Góry, oceny polityki wschodniej Jagiellonów, wynoszenia na piedestał, bądź wyprowadzania na margines naszych dziejów wątków religijnych (czy ściślejsze kontakty z papieskim Rzymem ograniczały suwerenność Rzeczypospolitej, czy wzmacniały byt państwowy?), sporów o sens powstań narodowych w dziewiętnastym stuleciu, wartość związków między narodami słowiańskimi. A z aktualioń zaskakiwać może na przykład postrzeganie Powstania Warszawskiego jako czynu zwycięskiego, wyzbywanie się sa-

tysfakcji z udziału w wiktorii berlińskiej 1945 roku, oferty przebaczenia kierowane do sąsiadów Polski przy jednoczesnym nasilaniu rozliczeń historycznych wobec osób określonych jako utrwalający władzę ludową.

Nie zamierzam omawiać szczegółowo choćby tylko te najbardziej interesujące egzemplifikacje do tematu: polskie tradycje narodowościowe. Należy natomiast zwrócić uwagę na różnice w doborze i odczytywaniu symboli przez kolejne rządy, różnorodne grupy polityków, duże i małe społeczności, ale także osobistości z kraju i emigracji, instytucje, stowarzyszenia, gremia nieformalne. Pozostając w epoce Piastów można wskazać na sympatie między innymi ludowców do króla Kazimierza Wielkiego, szacunek rzeczników Polski mocarstwowej dla Bolesława Chrobrego, preferowanie osoby Bolesława Śmiałego przez zwolenników zdecydowanego prymatu władzy świeckiej, a przeciwstawianie władcóm biskupa Stanisława Męczennika i świętego Wojciecha przez ugrupowania o wyraźnym rodowodzie chrześcijańskim, na pochwały kręgów lewicowych pod adresem sprawców buntów (powstań?) w XI wieku przeciwko legalnej władzy. Niemal zawsze racje partykularne propagatorów poszczególnych tradycji i symboli maskowane były poprzez nadawanie im ważkiego znaczenia dla utrzymania niepodległości Polski.

Tendencje te należałoby prześledzić i w wymiarze regionalnym. Do takich przewartościowań skłania między innymi dyskusja nad genezą, przebiegiem i znaczeniem powstań narodowych, poczynając od kościuszkowskiego (wyolbrzymione znaczenie udziału ludu nadnarwiańskiego), przez listopadowe (hagiograficzne prace o dokonaniach generała demokracji Józefa Bema, lekceważenie postaw i sukcesów kilku innych dowódców), styczniowe (jedni dostrzegali tylko udział chłopów, inni ograniczali ruch do zaścianków, dworów i plebani), lata 1905-1907 (na zmianę eksponowanie opcji rewolucyjnej lub narodowej), I wojny światowej (wciąż za mało piszemy o Polskiej Organizacji Wojskowej). Jeszcze więcej mitów, fałszu, propagandy politycznej można dostrzec w opracowaniach dotyczących najnowszych dziejów ziem Mazowsza Północno-Wschodniego i Podlasia. Odchodzą wprawdzie w cień schematy narzucane przez historyków z zaciągów partyjnych, dają natomiast znać o sobie priorytety forsowane przez liderów tzw. młodych województw powstałych w 1975 r. i innych działaczy szczebla regionalnego. Nie jest dziełem przypadku, że w Ostrołęckiem zapomina się o roli drobnej szlachty i ziemiaństwa, w Łomżyńskim gubi się wątki kur-

piowskie, na Podlasiu w zależności od okoliczności współczesnych wybijają się na plan pierwszy wpływy osadnictwa zachodniego lub wschodniego, a w Suwalskim w różnym kontekście pojawia się wątek litewski.

Obecnie istnieje zrozumiałe zapotrzebowanie na badanie i propagowanie głównie tradycji niepodległościowych z czasów II Rzeczypospolitej oraz II wojny światowej. Śmiem twierdzić, że po okresie lekceważenia dorobku dwudziestolecia międzywojennego mamy do czynienia z nadmierną gloryfikacją okresu 1918-1939, w tym i wojny 1920 roku, zwłaszcza postawy ówczesnego społeczeństwa (vide wyroki na dezertatorów, organizatorów komitetów rewolucyjnych, obywateli odmawiających świadczeń dla armii), niektórych formacji (znaczenie militarne oddziałów ochotniczych), dowódców (na ich ocenę za duży wpływ mają zachowania późniejsze), instytucji pozapaństwowych, w tym i kościołów różnych wyznań, a także państw Europy Zachodniej. Na pewno warto czerpać z cennych doświadczeń międzywojnia w procesie wychowania patriotycznego, ale także i po to, by nie popełniać błędów w zakresie na przykład polityki wobec mniejszości narodowych. Badania nad wrześniem 1939 roku z przyczyn oczywistych przesunęły się na sprawy wschodnie, co niestety spowodowało przerwanie lub wyraźne spowolnienie edycji niektórych wcześniejszych serii wydawniczych. Dowodem na to jest i brak do tej pory pełnej monografii SGO „Narew” oraz GO „Grodno”. Obserwuję z niepokojem zanikający krytycyzm wobec źródeł do dziejów konspiracji, zwłaszcza w wydaniu regionalnym i lokalnym. Taki stan prowadzi do mnożenia bohaterów i także ofiar, lekceważenia zaś siły i sprawności sił wrogich. 17 września br. powtórzyłem w audycji radiowej najnowsze dane o liczbie obywateli polskich wywiezionych na wschód od 9/10 lutego 1940 r. do niemal ostatnich dni czerwca 1941 r. Otrzymałem w odpowiedzi wiele telefonów i listów z wyrazami oburzenia, że pomniejszam celowo rozmiary cierpień ponad 2 milionów (!) Sybiraków. Podobnie było z próbą urealnienia danych o więźniach niektórych obozów koncentracyjnych, nie mówiąc już o liczebności oddziałów konspiracyjnych (w podawanych zestawieniach, zwłaszcza proveniencji dziennikarskiej wciąż „ubywa” alowców, a przybywa akowców). Co zaś tyczy się oddziałów wojsk regularnych, to wprawdzie bez zająknięcia powtarzamy, że równie czerwona była krew przelewana przez Polaków na zachodzie, co i na wschodzie, ale z wykazów najważniejszych bitew usunęliśmy de facto wielkie zwycięskie operacje 1 i 2 Armii WP, natomiast wzrosło w rankingu symboli niepodległościowych znaczenie walk stoczonych przez korpusy i dywi-

zje podległe Wodzowi Naczelnemu w Londynie. Jeszcze większe pomieszanie materii i to przy dość biernej postawie historyków obserwujemy w odniesieniu do „wojny po wojnie” (mniejszość opowiada się za określeniem: wojna domowa).

W tym miejscu należałoby odnieść się do zadawnionego sporu o ocenę działalności na rzecz państwa i narodu. Czy dobrze służyli Ojczyźnie konformiści, którzy nie powstając przeciwko narzuconej władzy zwierzchniej ofiarnie pomnażali potencjał ekonomiczny, szerzyli oświatę, nieśli wieloraką pomoc ludowi? Mieli polskość w sercu, nie powiększyli przecież szeregów renegatów mimo zachęt rzucanych przez zaborców i okupantów, chcieli tylko zaoszczędzić narodowi ofiar, bo według ich ocen nie było szans na pełną niepodległość. Co z rzecznikami walki wyłącznie w aliansach z innymi narodami, państwami, wielkimi ruchami społecznymi? Przeciwnicy takich postaw dowodzą, że niepodległość albo jest, albo jej nie ma, samooszukiwaniem są dowody na stopniowe poszerzanie suwerenności. Ta dyskusja powróci jeszcze niejednokrotnie także na spotkaniach historyków doby najnowszej spierających się o ocenę PRL. Zrozumiałe, że bez jasnej odpowiedzi o wymiar niepodległości nie można bez zastrzeżeń opisywać tradycji myśli i czynów podyktowanych potrzebą przywrócenia suwerennej Ojczyzny.

Z racji pełnionej funkcji mogłem z bliska obserwować kontrowersje w tym zakresie utrzymujące się w środowiskach kombatanatów i osób represjonowanych. Są momenty, że różnice nawet ulegają powiększeniu, czego dowodem dyskusje nad nowelą ustawy z 24 stycznia 1991 roku, przy okazji wielkich rocznic narodowych, wyborów. Można dojść wówczas do wniosku, że jednak w okresie osłabienia autorytetów na polskiej scenie publicznej końca XX wieku, w trakcie trudnych transformacji nie tylko ekonomicznych, szybkich zmian na mapie ugrupowań i orientacji, wciąż nieklarownej sytuacji międzynarodowej w tej części Europy, nie ustępujących uprzedzeń i kompleksów, animozji liderów oraz z kilku innych jeszcze powodów nie powstał zestaw powszechnie akceptowanych tradycji niepodległościowych. Czy w ogóle powstanie?

Jaką rolę odgrywali w tej mierze i odgrywać powinni posłowie oraz senatorowie? A liczą się nie tylko słowa, ale i zachowania. Mówiono, że można tak zaciekle walczyć o pokój, że pozostaną jedynie ruiny. Można i tak zawzięcie, w ogniu polemik i wielkiej wrzawy ustalać „słuszne” tradycje niepodległościowe, że nie ostaną się żadne autorytety historyczne, niepodważalne fakty, powszechnie uznawane oceny. Czarna to wizja!

KU ZBLIŻENIU Z LITWĄ

Minione cztery lata doprowadziły do normalności stosunki polsko-litewskie, uczyniły je przyjaznymi i przywódcy obu państw mogą zasadnie stwierdzać, że tak dobrze nie było od wieków. Swoją wkład w to dzieło zbratania ma i Polsko - Litewska Grupa Parlamentarna, której przewodniczyłem w Sejmie II kadencji, a w maju 1995 r. powołany został dodatkowo Międzyparlamentarny Zespół do Obserwacji Realizacji Postanowień Traktatu.

Miałem możliwość obserwowania z bliska procesu zacieśniania więzi polsko-litewskich, byłem w otoczeniu prezydenta Lecha Wałęsy przy podpisywaniu traktatu o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy, towarzyszyłem kilkakrotnie naszym marszałkom Sejmu, premierom, ministrom, innym politykom podczas ich wizyt w Wilnie, także prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu. Witałem gości z Litwy, przewodniczyłem rozmowom, prowadziłem konsultacje z przedstawicielami mniejszości narodowej. Długa to lista przedsięwzięć Grupy i moich obecności tam wszędzie, gdzie stawką był dalszy rozwój wzajemnych kontaktów.

Tematyka ta gościła często i na posiedzeniach Komisji Łączności z Polakami za Granicą, której byłem członkiem. Natomiast jako kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych mogłem wspierać działania byłych żołnierzy AK i innych formacji polskich mieszkających obecnie na Litwie. W minionej kadencji ponad pół tysiąca tamtejszych kombatantów otrzymało świadczenia pieniężne wypłacane kwartalnie z budżetu polskiego państwa. Organizowaliśmy ponadto pomoc materialną, przyjazdy rodaków z Litwy do sanatoriów i na uroczystości, wręczaliśmy im awanse i odznaczenia, pomagaliśmy przygotowywać imprezy rocznicowe, wspieraliśmy pracę historyków i dziennikarzy zajmujących się tą tematyką. Urząd finansuje kolumną kombatancą w „Kurierze Wileńskim”.

Dziękuję wszystkim członkom Polsko-Litewskiej Grupy parlamentarnej za serdeczny trud.

W ta pora

Panie Marszałku! Wysoka Izbo!

Długo czekaliśmy na ten traktat o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy obu państw tak silnie związanych historią, tak silnie historią obciążonych.

Nie ma potrzeby, by przypominać dzieje kolejnych unii polsko-litewskich, ale i uciążliwych wzajemnych wojen oraz okresów wrogości, wspólnych władców, lecz i postaci budzących po dzień dzisiejszy protest w Wilnie lub w Warszawie. Nie sięgnę po cytaty z dzieł wieśców, ze wspomnień sentymentalnych, ani po teksty rozkazów i manifestów.

Zaczynamy dyskusję sejmową nad ustawą szczególną, ostatnią tego typu między Rzeczypospolitą Polską a państwem ościennym. W Sejmie litewskim debata ratyfikacyjna trwa od 12 maja br., 7 dni później parlamentarzyści w Wilnie skierowali traktat do komisji.

"Za" opowiedziało się wówczas 48 posłów, przeciw - 9, a 11 wstrzymało się od wyrażenia swej woli. Cieszyć powinien ten wynik, bo pamiętamy z jakim trudem posuwały się rokowania, jak mnożyły się oskarżenia, jak wolno ustępowała nieufność. Nadal zresztą obserwujemy nawroty żalów historycznych, krytycznych ocen i bulwersujących przykładów z terażniejszości, zwątpień w możliwość zapanowania trwałej zgody w przyszłości.

Historycy muszą ustalić prawdę o wzajemnych odniesieniach, by pomóc wyleczyć jednych z kompleksów, a innych z przejawów megalomanii narodowej, by wytrącić oręż z rąk harcowników. Politycy niech wyzbędą się manieri patrzenia na procesy integracyjne w Europie poprzez przyzmat rozgrywek wewnątrzpaństwowych.

Jaka rola przypada posłom? Tak się złożyło, że przewodzę Polsko-Litewskiej Grupie Parlamentarnej. Kolega poseł Vytautas Plečkaitis, przewodniczący Grupy Parlamentarnej Litewsko-Polskiej Sejmu Republiki Litewskiej napisał przed kilkoma dniami: „Jeśli mówimy tylko część prawdy, oszukujemy samych siebie. Stałe popłakiwanie i skarżenie się na obcych świadczy jedynie o naszej niedojrzałości”. Te słowa opublikowane w Wilnie zaadresować trzeba i do części rodaków nad Wisłą. Uzgodniliśmy już w ramach porozumień obu Grup, że wymienimy obserwatorów w końcowej fazie debat ratyfikacyjnych.

Brak nadal pełnej informacji. Upředzenia i nawyki z lat nieprzyjaznych stosunków międzywojnia, oskarżenia z czasów okupacji, półprawdy i manipulacje z ostatnich dziesięcioleci - te zadry tkwią po obu stronach granicy polsko-litewskiej. Słyszę często, że większy powinien ustąpić jako pierwszy. Brzmi to przekonywująco, ale niechże mniejszy pozbędzie się szybciej upředzeń.

Już w czasie debaty ratyfikacyjnej Sejm Republiki Litewskiej podjął decyzję uniemożliwiającą w wyborach samorządowych wystawianie list wyborczych przez organizacje społeczne, w tym i Związek Polaków na Litwie. Uczynił tak niezgodnie z literą traktatu polsko-litewskiego i międzynarodowymi standartami dotyczącymi praw członków mniejszości narodowych. Tę decyzję zawetował pan prezydent Algirdas Brazauskas, lecz ustawa wróci do parlamentu. Z kolei rząd Republiki Litewskiej 15 czerwca przyjął uchwałę o 55 rocznicy włączenia Wileńszczyzny do Litwy (była to de facto decyzja Stalina z 27 października 1939 r.). W uchwale czytamy: „Reżimy okupacyjne pozostawiły w tym kraju wiele dawnych problemów dotyczących oświaty, kultury, gospodarki”. Chcę wierzyć, że program ten nie posłuży do zacierania śladów polskich, zwłaszcza że jeden z postulatów cytowanej ustawy dotyczy konieczności kształtowania tożsamości etnicznej i narodowej Litwinów zamieszkujących w krajach sąsiadujących z Litwą. Taką możliwość daje Litwinom właśnie podpisany już, a jeszcze nieratyfikowany traktat. Analogiczne, zgodne z traktatem winny być prawa Polaków na Litwie.

I jeszcze może przykład ostatni, czyli obchody w Wilnie w dniach od 30 czerwca do 3 lipca 50. rocznicy operacji AK „Ostra Brama”. Nerwowa reakcja władz miejskich, ale i uspokajający głos marszałka Česlovasa Juršenasa. Dobrze więc, że odbyło się w Wilnie to sympozjum historyczne pod hasłem „Rok 1944 na Wileńszczyźnie” z udziałem historyków i polskich, i litewskich, i białoruskich. Nie spotkali się jednak, a tak planowano. Polacy i Litwini na mszach pojednania we wsiach Glinciszki i Dubinki, gdzie są mogiły wzajemnego terroru. Tytuł ostatnich przykładów trudnego procesu dochodzenia do zgody i zaufania.

Wybrałem informacje z Litwy, ale mam świadomość, że tego typu zestawienia są czynione również przez obserwatorów życia publicznego w Polsce. Mówi się w Wilnie o protestach tzw. polskich towarzystw kresowych, o utrudnieniach w budowie domu kultury w Puńsku, o prowakacyjnych przykładach wspierania Polaków na Litwie, o postawach konfrontacyjnych w Sejnach; cytuje się niektóre artykuły prasy polskiej.

Dobrze z takiej sytuacji zdawali sobie sprawę autorzy preambuły do traktatu między Rzeczypospolitą Polską a Republiką Litewską. W imię jednak rozwoju przyjaznej współpracy, z obowiązku śmiałego myślenia o przyszłości, przy uznaniu wzajemnej integralności, mając na uwadze zachodzące zmiany w Europie, obie strony w ponad 20 artykułach zawarły zasady postępowania i wskazały najważniejsze sfery działania. Cenne wydaje się m. in. postanowienie art. 6 o niezwłocznych konsultacjach w przypadku powstania sporu lub sytuacji grożącej konfliktem. Kilka innych artykułów potwierdza wolę zachowania pokoju i bezpieczeństwa. Art. 8 nakazuje rozwijanie regularnych kontaktów między organizacjami państwowymi. Bardzo ważne są zapisy o współpracy gospodarczej, związkach poszczególnych regionów, zwłaszcza przygranicznych, doskonaleniu łączności i sieci transportu, nasilaniu ochrony środowiska. Jednym z pierwszych efektów tych zamiarów mogłaby być budowa nowych i nowoczesnych przejść granicznych, by dłużej nie bulwersowały zajścia na przejściu w Ogrodnikach.

Uwagę zwraca art. 13 ze względu na zobowiązanie poszanowania międzynarodowych zasad i standardów dotyczących ochrony praw mniejszości narodowych. O tym mówiono już dzisiaj dużo. Bardziej szczegółowo resztą traktują tę sprawę inne, kolejne artykuły.

Popozostaje jednak wiele pytań, bardziej kontrowersyjnych o:

- dalszy rozwój sieci szkół, w tym także i szkół wyższych,
- zasadę podwójnego obywatelstwa,
- usunięcie wątpliwości związanych z brzmieniem nazwisk i nazw miejscowości,
- przyszłe reformy administracji terenowej, by nie były one czynione ze szkodą dla praw mniejszości,
- rolę samorządów na terenach o zwartym osadnictwie polskim na Litwie, a litewskim w Polsce.

Pytań jest więcej. Ale w tej chwili najpilniejsza jest sprawa zakończenia procesu ratyfikacji traktatu. Okaze się na ile zasadne są obawy, że pojawiać się mogą uchwały towarzyszące temu traktatowi, a przywołujące duchy w kostiumach historycznych, kładące się ceniami między obydwojma państwami; na ile prawdziwe są pogłoski, że obie strony czekać będą na decyzję sąsiada.

Klub PSL nie wnosi zastrzeżeń do treści traktatu między RP a RL o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy. Jak przystało na chodzących twardo po ziemi apelujemy o obustronną, może jednoczesną ratyfikację traktatu tuż po przerwie wakacyjnej i o nasilenie programów współpracy, bo one zadecydują o sukcesie lub fiasku okresu przełomu. Apelujemy o powstrzymanie się od działań mogących zakłócić proces przyjaznego sąsiedztwa. *W tą pora*, jak mówią nasi wilniuchy, czas zamknąć wiek odchodzenia Polski i Litwy od siebie, by razem skutecznie skorzystać z szansy powstałej poz zmianach geopolitycznych w Europie. Temu ma służyć ten traktat. Traktat dla Polski i Litwy, to znaczy że i dla Polaków na Litwie, i dla Litwinów w Polsce.

(Wystąpienie w imieniu Klubu PSL podczas posiedzenia plenarnego Sejmu w dniu 6 lipca 1994 r.)

JAK LITWIN Z POLAKIEM.

TRAKTAT Z LEKKA ZAPOMNIANY

Nie można nie dostrzegać wielu osiągnięć naszych rodaków na Litwie, trafnych decyzji władz Republiki oraz trudności obiektywnych wynikających z sytuacji ekonomicznej tego młodego państwa o długiej historii. Jednak lista zaniedbań, ważkich spraw czekających na uregulowanie i niezrozumiałych uprzedzeń jest stanowczo zbyt długa.

Departament do spraw problemów regionalnych i mniejszości narodowej Republiki Litewskiej wydał broszurę Severinasa Vaitiekusa: „Polacy Litwy”. Autor oparł się głównie na wynikach spisu mieszkańców z 1989 r. Odnotowano wówczas oficjalnie na Litwie obecność 262,5 tys. naszych rodaków; stanowili 7 proc. ogółu ludności. Powyższy wskaźnik dla Wilna wynosił 18,8%, dla rejonu wileńskiego - 63,5%, a rejonu solecznickiego - niemal 80%. Jeśli wierzyć liderom społeczności polskiej na Litwie należałoby w każdym przypadku dodać po kilka procent i ku temu skłania się również większość krajowych znawców problemu.

Bardzo istotne jest następujące zestawienie: z każdego tysiąca Polaków 872 urodziło się na Litwie, a tylko 102 na Białorusi; 8 w Rosji, 4 na Ukrainie, po dwóch lub jednym w innych republikach b. ZSRR. Statystyki urzędowe nie podają natomiast ilu z nich urodziło się na terytorium II Rzeczypospolitej i tylko z danych o grupach wiekowych można sądzić, że obywatelstwo polskie miał niemal co trzeci z 262,5 tys. ujętych w spisie 1989 r.

Severinas Vaitiejus nie ma wątpliwości, że mniejszość polska na „równych i jednakowych podstawach” korzysta ze swobód gwarantowanych przez konstytucję litewską, w tym również do swobodnego rozwoju narodowej oświaty, kultury, łączenia się w organizacje mniejszościowe, utrzymywania więzi z rodakami. Autor przez różowe okulary patrzy na wszystkie przytaczane w tekście wyliczenia liczbowe, opatrując je miło dla ucha brzęczącymi komentarzami. Oto na przykład radosna informacja ze strony 47: „W uroczystych okazjach nabożeństwa w języku polskim odbywają się w Archikatedrze Wileńskiej”. Czytać ją zaś należy następująco: nadal nie ma codziennych i niedzielnych mszy w języku polskim w tej świątyni, która tak bardzo z pokoleniami wilińskich jest związana.

Wariacje na wybrane tematy

Proponuję jeszcze jeden przykład. Szczerze jesteście władzom litewskim wdzięczni, że zezwoliły w 1992 r. na odtworzenie grobów akowców poległych w operacji „Ostra Brama” i pochowanych latem 1944 r. nie opodal płyty kryjącej urnę z sercem Józefa Piłsudskiego. Vaitiekus pisze jednak w cytowanej broszurze o „uporządkowaniu grobów żołnierzy polskich z XX w. znajdujących się na Roscie”. Tak, to prawda, że Armia Krajowa działała w XX wieku, ale czyżby wciąż za ciężki grzech narodowy uchodziło wymienianie przez Litwinów tej nazwy?

Optymizmu oficjalnej broszury rządowej nie podziela raport Gheorghel`a Frundy, przedstawiciela Komitetu Praw Człowieka przy Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy. Wskazuje on na liczne braki w systemie ustawodawstwa litewskiego i przypadki nieprzebrzegania praw mniejszości. Znamienne, że szef delegacji litewskiej poczuł się w obowiązku oświadczyć na forum Zgromadzenia Parlamentarnego Rady, że „organizacje mniejszościowe na Litwie nie zgłaszają zastrzeżeń co do swojej sytuacji”. Na to już nazajutrz Zbigniew Siemienowicz w imieniu frakcji polskiej w litewskim sejmie potwierdził ustalenia raportu Frundy.

Obserwując tego typu pojedynki i pałajanki pamiętać należy, że także Litwini mieszkający w Polsce wciąż ponawiają swoje prośby i skargi. Niestety, odpowiedzi i decyzje naszych władz też nie zawsze pozostają w zgodzie ze standartami europejskimi. Najgorsze, że błędy „na górze” są wodą na młyn dla hurratriotów po obu stronach granicy. Na razie możemy więc tylko pomarzyć, by mniejszości pełniły rolę zbiorowych ambasadorów, by służyły zbliżeniu obu narodów i nikt nie śmiał ich postrzegać w roli dywersantów.

Komu śni się Wielkie Wilno

Regularnie spotykają się przedstawiciele grup parlamentarnych polsko-litewskiej i litewsko-polskiej, w maju br. wyłoniły ponadto trójki poselskie sprawdzające, jak wprowadzane są w życie postanowienia traktatu między Republiką Litewską a Rzeczypospolitą Polską o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy.

W końcu października ub.r. rozmawialiśmy w Wilnie z wieloma politykami, wysokimi urzędnikami państwowymi, liderami organizacji

polskich, ambasadorem RP Janem Widackim, redaktorami. Powtarzają się stare wątki, dochodzą nowe, najczęściej w formie skarg lub protestów.

Chyba najwięcej emocji budzą aktualne plany rozbudowy Wilna. Według działaczy ze Związku Polaków na Litwie „nie mają one ekonomicznych ani logicznych uzasadnień, prowadzą natomiast do zmian narodowościowych na obszarach zamieszkałych przez mniejszość polską i pozbawiają ją środków do życia”. Wilno zajmuje dziś obszar niemal 31 tys. ha., de facto zagarnięto pod dzielnicę Pilaite (Zameczek) i części innych dzielnic dodatkowo 3 tys. ha.

Plan rozwoju do 2015 r. przewiduje włączenie do stolicy Litwy 13 tys. ha, oczywiście kosztem uszczuplenia ziem rejonu wileńskiego. Litwescy inicjatorzy zmian przypominają o naturalnej potrzebie poszerzania granic dużych miast i próbują przekonać opornych, że „na zwiększeniu obszaru stolicy zyskać mogą również rejon, a zwłaszcza ośrodki podmiejskie”, bo te nie dysponują środkami umożliwiającymi rozbudowę infrastruktury.

Brzmi to logicznie, ale w rejonie wileńskim zdecydowana większość przedkolchozowych właścicieli gospodarstw rolnych z bardzo różnych powodów nie odzyskała jeszcze ziemi. Boją się, że zostaną po prostu wyrzuceni z domów, wydarci z ojcowizny przez większość litewską.

Tak być wcale nie musi, są już i korzystniejsze, choć tylko częściowe regulacje prawne, przedłuża się jednak oczekiwanie na dalsze kroki w tym kierunku.

Widziane z ławki szkolnej

Problem numer dwa stanowi moim zdaniem szkolnictwo mniejszości narodowych, i to po obu stronach granicy. Podpisano program współpracy Polski i Litwy w dziedzinie oświaty i szkolnictwa wyższego, bardzo pojemny i obiecujący. W 124 szkołach polskich na Litwie uczy się niemal 18 tys. dzieci, dwa razy więcej niż w 1988 r. Znaczny to postęp, lecz w tym roku spadła liczba uczniów w klasach pierwszych, a na przykład w rejonie sołecznickim 60% uczniów klas litewskich to dzieci z rodzin polskich. Co trzeci nauczyciel szkół polskich na Wileńszczyźnie osiągnął wiek emerytalny, brakuje wielu specjalistów, podręczników, pomocy naukowych, niekiedy znośnych warunków do nauki. A Polskiej Macierzy Szkolnej grozi eksmisja z lokalu przejętego po Muzeum Feliksa Dzierżyńskiego.

Pora też uzgodnić stanowiska wobec zasad kształcenia nauczycieli dla szkół obu mniejszości narodowych, doboru i warunków rozprowadzania podręczników, korekt w programach, dofinansowywania placówek. Strona polska winna przedstawić plan tworzenia szkół ponadśrednich i uregulowania statusu studentów powracających na Litwę z dyplomami ukończenia studiów w Rzeczypospolitej. Częściej sięgam po przykłady z podwórka polskiego tylko dlatego, że je poznałem osobiście podczas częstych wizyt za miedzą.

To młodzi decydować będą już wkrótce o stosunkach polsko-litewskich, zarówno tych na Wileńszczyźnie, jak i w wymiarze międzynarodowym. Wojciech Wróblewski, radca Ambasady RP, przeprowadził badania w dwóch wileńskich polskich średnich szkołach. Na pytanie o częstotliwość spotkań z Litwinami i Rosjanami padły odpowiedzi: „bardzo często” z Litwinami - 28,8%, a z Rosjanami - 29,7% badanych uczniów, a „czasami” z Litwinami - 47%, z Rosjanami - 50,7%, „prawie wcale” z Litwinami - 24,5%, z Rosjanami - 19,6% proc. Zdaniem Wróblewskiego „trudno mówić o zamknięciu się polskich rodzin”...

(Obszerny fragment artykułu, który ogłosiłem w nr 2 „Polityki” z 13 stycznia 1996 r.)

O stosunkach polsko litewskich pisano wiele, często jednak głównie po to, by potwierdzić lansowane z uporem tezy. Można prześledzić jak dalece różnili się autorzy zestawiając materiały ze „Słowa” i „Gazety Wyborczej”. Podobnie było i na Litwie, czego dowodem polemiki z „Naszą Gazetą”, organem ZPL. Bojownicy z obu flank chętnie wykorzystywali wszelkie incydenty, prowokujące cytaty, tragiczne rocznice. W roli gaszących zarzewia pożarów występowali i przedstawiciele obu Ambasad. Duże kontrowersje wzbudzała jednak działalność prof. Jana Widackiego, odmiennie oceniano wypadki do Polski liderów ugrupowań z Wileńszczyzny. Czas zaś wyraźnie sprzyjał zwolennikom wzajemnego zbliżenia.

POD ZNAKIEM ORŁA I POGONI

Najpierw Mazowsze cierpiało okrutnie od niszczycielskich napadów „dzikiej, głodnej Litwy”. Zdaniem przynajmniej części historyków główną przyczyną zawarcia przez Polaków pierwszej unii polsko - litewskiej była nie tyle chęć znalezienia sojusznika do wspólnej walki z Zakonem Krzyżackim, co zneutralizowanie agresywności pogańskich plemion, które bezkarnie docierały aż nad Wisłę. Władysław Jagiełło w polskiej tradycji ma wyjątkowo wysokie notowania, ale dla wielu współczesnych Litwinów jest zdrajcą. My stawiamy kościoły pod wezwaniem błogosławionej (*obecnie już świętej*) Jadwigi, Litwini wielbią Witolda za przeciwstawianie się Polakom.

Kolejne wieki sprzyjały procesom polonizacyjnym na Litwie, unia personalna zamieniona została w Lublinie na realną, a Konstytucja 3 Maja zniósła formalnie podziały między Koroną i Wielkim Księstwem Litewskim. Ile Litwa zyskała na związku z Polską, a ile Polska? Jedno nie ulega wątpliwości, za najcenniejsze osiągnięcia uznać należy wspólne dokonania. Od wschodu nasuwała się jednak potęga moskiewska i jej Rzeczypospolita Obojga Narodów nie zdołała się obronić.

W okresie zaborów carat świadomie dążył do skłócenia podbitych społeczności, a represje wobec ziemiaństwa, duchowieństwa i drobnej szlachty bardzo osłabiły polskość na Kresach. Skorzystała z tego m. in. odnawiająca się nacja litewska, nota bene z poparciem części Polaków. Z tym nie mogli pogodzić się zwolennicy odbudowy potężnej Rzeczypospolitej w przedzoborowym kształcie. Mieli oni za złe i Józefowi Piłsudskiemu, że postuluje tylko federację Polski z Litwą, co z kolei z zadowolaniem przyjmowali tzw. krajowcy.

Warszawa - Sejny - Wilno - Soleczniki

Wiadomo co było dalej. Na włączenie (włączenie się?) Wileńszczyzny do II Rzeczypospolitej Litwini odpowiedzieli niewypowiedzianą wojną. Wzajemne żale, uprzedzenia i konflikty nasiliły się w latach II wojny światowej. Po obu stronach istnieją dziś listy oskarżeń, na tej polskiej widnieje m. in. zarzut zbrodni popełnionych przez szaulisów, zaś litewską otwierają epitety pod adresem Armii Krajowej.

Politycy III Rzeczypospolitej i Republiki Litewskiej dość zgodnie potwierdzają szybką poprawę wzajemnych stosunków. Proces ten przybrał wyraźnie na sile po zawarciu traktatu w dniu 20 kwietnia 1994 ro-

ku. Mnożą się wizyty oficjalne, obustronne umowy, deklaracje dobrej woli i obroty handlowe, ale nadal Polska zajmuje dopiero szóste miejsce wśród partnerów gospodarczych Litwy z rezultatem dziesięciokrotnie mniejszym od Rosji.

Niestety daleko jeszcze do uregulowania kwestii spornych zgłaszanych przez obie mniejszości narodowe. Polaków na Litwie niepokoją plany powiększenia obszaru Wilna o 13 tys. hektarów, przede wszystkim kosztem wiosek zamieszkałych przez naszych rodaków. Źle się dzieje w szkołach polskich, rejony wileński i solecznicki zajmują ostatnie lokaty pod względem warunków życia. Z kolei mniejszość litewska alarmuje o incydentach przy konsulacie w Sejnach (od niedawna pilnowanego dzień i noc przez policję), ponawia pytania o lokalizację w tym mieście pomnika biskupa Antanasa Baranuskasa (Baranowskiego). Zarówno Polacy w Republice, jak i Litwini w Rzeczypospolitej postulują szybsze regulacje w zakresie używania języków narodowych, zachowania oryginalnej pisowni nazwisk, łatwiejszego dostępu do środków masowego przekazu.

Jeśli rozmawiamy o bogactwie kontaktów przez granicę głowy unoszą się dumnie. Jeśli pada temat związany z sytuacją mniejszości narodowych, to albo robi się wstydliwie, albo hałaśliwie.

Piąta rocznica

12 i 13 stycznia Litwa obchodziła już po raz piąty rocznicę tyleż bolesną, co i chwalebna. Tamtej zimowej nocy 1991 r. w rejonie wileńskiej wieży telewizyjnej zginęło 14 osób, a w kilka miesięcy później na listę ofiar wpisano i nazwiska celników. Determinacja w obronie odradzającej się ojczyzny sprawiła, że władze sowieckie nie zdecydowały się na rozwiązanie zbrojnego. Swój wpływ na taki finał miała i opinia światowa, w tym postawa obywateli polskich. To właśnie w Warszawie z ewentualną misją tworzenia rządu emigracyjnego przebywał ówczesny minister spraw zagranicznych Algirdas Saudargas, a do Wilna pojechali polscy parlamentarzyści. Minister Saudargas w wywiadzie udzielonym „Rzeczypospolitej” napisał: „W tamtych styczniowych dniach czułem wyraźnie, że Polska i Litwa miały wspólną historię”.

12 stycznia 1996 r. przemówienie w Sejmie RL wygłosił marszałek Sejmu RP Józef Zych. Gość z Polski odbył też kilka spotkań, udzielił wywiadów. Padają słowa o radości i satysfakcji. Powtarzano, że tak dobrych stosunków między obu państwami nie było od dawien dawna. Li-

twą potrzebuje Polski w swym marszu do zjednoczonej Europy i także dla szybszego wyjścia z kryzysu (...).

Wątki kombatanckie

Po długich perypetiach władze litewskie w lutym ubiegłego roku zarejestrowały Klub Polskich Weteranów Wojny (bez wskazania na AK). Są już na Litwie trzy polskie stowarzyszenia kombatanckie, za kilka dni przyjmie w Wilnie pierwszych pacjentów przychodnia zorganizowana przez Fundację AK im. gen. Niedźwiadka-Okulickiego. (...) Serdeczne są więzi między byłymi kolegami z oddziałów partyzanckich i wojsk regularnych zamieszkałych po obu stronach granicy, płyną na wschód dary.

Nie znaczy to, że jest już bardzo dobrze. Nie upamiętniono przecież wszystkich grobów, nie zapisano czynów bojowych, nie można ich popularyzować na Wileńszczyźnie. Przyznaję, że nie przyjęliśmy w Marcierzy w minionym roku wszystkich pragnących podreperować swe zdrowie w polskich sanatoriach.

Spotkałem się w Wilnie i z zarzutami brzmiącymi anegdotycznie. Tamtejszych kombatanatów przed dwoma lub trzema laty wyposażono w mundury wojsk polskich. Teraz więc w dni świąteczne widuje się w stolicy Litwy grupki żołnierzy jakby z II wojny światowej. A jest oficjalnie i sześciu oficerów polskich, którzy przyjechali tu na naukę języka litewskiego. To przyszła kadra wspólnego batalionu. Wojsko polskie udziela nadal różnej pomocy siłom zbrojnym Republiki.

Z nadzieją pojednania

Podczas rozmowy marszałka J. Zycha z prezydentem Algirdasem Brauskasem poprosiłem tego drugiego o pomoc w zorganizowaniu uroczystości czerwcowych w Gliniszkach i Dubinkach. Taka wola jest po stronie polskiej, pora zamknąć jeszcze jedną ranę wojny.

Nocą z 19 na 20 czerwca 1944 r. partyzanci z 5 Brygady AK „Łupaszki” „zagościli” w majątku Gliniszki. W drodze powrotnej zostali zaatakowani przez oddział policjantów litewskich z Podbrodzia. W walce zginęło dwóch Litwinów, dwaj inni zmarli później z odniesionych ran. 20 czerwca rano Gliniszki otoczyło około stu policjantów i ci zamordowali w okrutny sposób 37 Polaków, a ponadto jeszcze dwóch naszych rodaków w Pobrzeziu.

Komendant Wileńskiego Okręgu AK gen. Aleksander Krzyżanowski zarządził demonstrację zbrojną w wykonaniu oddziałów 2 Zgrupowania AK „Węgielnego”. Wcześniej jednak „Łupaszko” wbrew rozkazowi „Wilka” z 12 kwietnia 1944 r. zorganizował akcję represyjną. Po zdobyciu wsi Dubinki zabito 27 osób. W obu przypadkach wśród ofiar były małe dzieci, kobiety, starcy. Zbliżający się od wschodu front nie pozwolił na wyjaśnienie wszystkich okoliczności i ukaranie sprawców.

Co można zrobić w 42 lata po tragedii? Powiedzieć całą prawdę, odprawić mszę na obu cmentarzach, posadzić krzyże na znak przebaczenia, przekazać sobie znak pokoju. Czy tak się stanie? Powinno się stać.

(Jest to niemal w całości przedrukowany artykuł mojego autorstwa z nr. 7 londyńskiego „Dziennika Polskiego” z 17 lutego 1996 r.

Niestety nie ma pod dzień dzisiejszy krzyży pojednania na obu cmentarzach!).

„Zamieniając wędrówkę po ulicach i zaułkach Wilna na pielgrzymkę przez stulecia minione, zbliżymy się do przeszłości wielkiej i jasnej, by z niej czerpać naukę i ochotę na przyszłość, od naszych wysiłków zależną; na tem bodaj polega ten nieprzeparty czar, jaki przeszłość na nas wywiera. I powoli, przekonawszy się, że poznać Wilno – to znaczy pokochać je na zawsze”

prof. Juliusz Kłos, 1923

List otwarty do posła Vytautasa Plečkaitisa

Z wielkim smutkiem przeczytałem informacje prasowe o Pana wystąpieniach oceniających spotkanie obu naszych grup parlamentarnych w dniach od 2 do 7 czerwca br. Nie twierdziliśmy, że traktat polsko - litewski został złamany, a sytuacja mniejszości polskiej na Litwie pogorszyła się. Wyraziliśmy natomiast nasze obawy o skutki realizacji m.in. ustawy o poszerzeniu granic Wilna (bez wcześniejszego rozstrzygnięcia spraw własności ziemi) i rozporządzenia ministra oświaty RL, a także w związku z propozycjami zmian ordynacji wyborczej. Stwierdziliśmy, że są to zagrożenia dla ducha traktatu o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy. Mogą one rzutować na postawy obywateli po obu stronach granicy, nie tylko w środowiskach mniejszości narodowych i mogą rzeczywiście spowodować pogorszenie się sytuacji naszych rodaków na Wileńszczyźnie. Za mało wcióż czynimy, by uprzedzać tego typu niebezpieczeństwa, lepiej zrozumieć racje Polaków na Litwie i Litwinów w Polsce, pozyskać ich dla dzieła zbliżania obu państw i narodów. Trudno nam wciąż pozbyć się kompleksów, wyimaginowanych strachów.

Pan Poseł pozwolił sobie na napaść na Polskie Stronnictwo Ludowe, a o przy tej okazji uznał i mnie za „aktywnego uczestnika tego procesu”. To nie PSL znajduje się u progu kampanii wyborczej; nie chce zbijać kapitału politycznego na wspólnotach narodowych i na pewno nie postuluje przyspieszenia wyborów. A ja w trakcie rozmów wyrażałem nie stanowisko PSL, tylko naszej Grupy parlamentarnej.

We wspólnym komunikacie po naszym spotkaniu znalazł się apel, do którego strona polska przywiązuje wyjątkową wagę: „Posłowie obu Grup parlamentarnych apelują do wszystkich Litwinów i Polaków o powstrzymanie emocji i wzajemną życzliwość, jak przystało na narody o bogatej tradycji historycznej, tak silnie związane przeszłością, świadome swego miejsca i swej roli w Europie, prowadzące trudne procesy transformacji”. Proszę pana Posła jako przewodniczącego Grupy Litewsko - Polskiej o propagowanie tego apelu i takich właśnie postaw. Przypomnę ponadto z naszego wspólnego komunikatu słowa nadziei związane ze spodziewaną wizytą Premiera RL w Polsce i dalszymi rozmowami naszego wspólnego zespołu poselskiego do monitorowania realizacji traktatu. Cieszyłbym się, gdyby posłowie obu Parlamentów,

a tym bardziej członkowie naszych Grup unikali prezentowania opinii o sobie nawzajem, zwłaszcza opartych o błędne przesłanki lub wynikłe z niepełnej wiedzy.

Panie Pośle jestem szczerze przekonany, że chcemy i możemy wiele pożytecznego uczynić dla naszego przyjaznego sąsiedztwa, pamiętajmy tylko sami o słowach przytoczonego przeze mnie apelu. I jeszcze uważa ostatnia, jeśli bezpodstawna, to przepraszam za nią już teraz. Czy nie stanie się niestety tak, że w trakcie kampanii wyborczej do Sejmu RL można będzie zdobyć więcej głosów na kartę antypolską niż propolską?

Panie Pośle pracujmy wytrwale, by nawet takie podejrzenia nie mogły się pojawiać tak w Polsce, jak i na Litwie.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Adam Dobroński,
przewodniczący
Polsko - Litewskiej Grupy Parlamentarnej.
Czerwiec 1996 r.

Jest to przykład „zakłóceń” we współpracy obu Grup. Przykład jednak dość wyjątkowy, bo zdecydowanie przeważała jedność poglądów. Poseł V. Plečkaitis został odznaczony przez władze RP za pracę na rzecz poprawiania stosunków litewsko-polskich.

Stało się trawicyją, że reprezentacje Grup spotykały się dwa razy rocznie w szerszym gronie i kilkakrotnie w mniejszym. Wyjazdy łączyliśmy ze zwiedzaniem, poznawaniem warunków życia mieszkańców Polski i Litwy. Nie chcieliśmy ograniczać się do łagodzenia sporów i rozpatrywania postulatów mniejszości narodowych. Koledzy litewscy znali niezłe język polski. Regułą były i rozmowy w ministerstwach lub urzędach centralnych, utrzymywanie kontaktów z dziennikarzami, starania o docieranie do środowisk młodzieżowych.

Polsko-Litewska Grupa Parlamentarna należała do najaktywniejszych wśród grup bilateralnych w Sejmie II kadencji. Moją zastępczynią była posłanka Irena Nowacka (SLD), a sekretarzowała nam pani Anna Sulek.

Następcom życzymy powodzenia LINKIME SEKMES!

Wspólne Zgromadzenie

Panie Marszałku, Panie Posłanki, Panowie Posłowie

Dane mi jest po raz kolejny w imieniu Klubu Parlamentarnego Polskiego Stronnictwa Ludowego wyrazić zadowolenie z wzmocnienia więzi polsko-litewskich. Przypomnijmy sobie, jak wiele się zdarzyło w mijającej kadencji polskiego Sejmu na linii Warszawa - Wilno, jak konsekwentnie wprowadzamy w życie artykuły wspólnego traktatu o przyjacielskich stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy, ile złożono oficjalnych wizyt, także w obu parlamentach, jak wzrosły wzajemne obroty gospodarcze, jakże często mogliśmy odwoływać się do wspólnych dziejów, sławnych rodaków, wartości zrodzonych na ziemiach byłej Korony Królestwa Polskiego i byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Jak bywa między sąsiadami pojawiały się, nawet powracały problemy sporne, bulwersowały wypowiedzi, w tym i ministerialne, smuciły nader często uzasadnione załe obu mniejszości narodowych, polskiej na Litwie, a litewskiej w Polsce. Jest wciąż dużo do zrobienia, bo przecież nie chodzi już o okazyjne deklaracje, ale o łączenie sił dla przewyższania skutków minionych dziesięcioleci, do zgodnego współdziałania na arenie europejskiej. Nauczylśmy się procedować kwestie trudne, może zbyt wolno, na pewno jednak z poszanowaniem wzajemnych racji, przestrzegając wcześniej ustalone zasady. Takim przykładem aktualnym jest pisanie nazwisk.

Z satysfakcją przyjmujemy docierające z Wilna stwierdzenia prezydenta Algirdasa Brazauskasa ("Wzorem dobrych stosunków Litwy z sąsiadami może być bliska i różnorodna współpraca z Polską"; orędzie z 18 lutego o stanie państwa), słowa marszałka Vytautasa Landsbergisa o „strategicznym partnerstwie” z Polską, wypowiedzi ministra spraw zagranicznych Algirdasa Saudargasa: ("Droga Litwy do struktur euroatlantyckich wiedzie przez Polskę"; wywiad z 8 stycznia br.), innego tego typu oświadczenia. Jak daleko doszliśmy drogą zbliżenia widać wyraziście, gdy spojrzymy na stan stosunków Rzeczypospolitej z innymi sąsiadami i państwami za wschodnią naszą granicą.

W tej sytuacji bez zbędnych fanfar i wiatów przyjmujemy potrzebę powołania wspólnego Zgromadzenia Poselskiego Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej i Republiki Litewskiej. Przyszła na to stosowna pora, już nie wystarczają spotkania marszałków, reprezentacji komisji i klubów, grup parlamentarnych polsko-litewskiej i litewsko-polskiej.

Wyjaśniono sobie w stopniu zadawalającym wątpliwości, przekonano po obu stronach wątpiących, wyrażono argumenty przeciwnikom, bo i tacy byli, a może są jeszcze nadal. Na próżno by ich szukać w szeregach posłów PSL, działaczy ludowych. Jesteśmy „za”, trzeba zainauguować pracę Zgromadzenia w przekonaniu, że posłowie Sejmu III kadencji wykorzysta-

ją w pełni tę nową wartość. A może zdarzy się i tak, że z polsko - litewskiego zaproszenia skorzystają przedstawiciele parlamentów innych jeszcze państw kruszących mury pojaltańskie.

Powstaje instytucja nowa w dziejach polskiego sejmowania, tworzymy ją w przekonaniu, że dobrze się przysłuży obu narodom i całej Europie.

(Przemówienie sejmowe wygłoszone w dniu 18 czerwca 1997 r.)

Na pierwszym posiedzeniu Zgromadzenia, które miało miejsce w Wilnie w dniu 2 lipca 1997 r. zostałem wybrany na stanowisko wiceprzewodniczącego Zgromadzenia Poselskiego Sejmów RP i RL. W jego skład weszło po 20 parlamentarzystów z obu stron. Poprzestano na ustaleniu procedur i przyjęcie apeli do społeczeństw własnych oraz państw Europy. Na kolejnym posiedzeniu podjęte zostaną te najtrudniejsze problemy wciąż jeszcze przeszkadzające we wzajemnych kontaktach.

Najtrudniejsze już za nami. Kryzys udało się przełamać między innymi dzięki przyjęciu zasady, że spory historyczne należy pozostawić badaczom dziejów, a nie mogą one blokować rozwiązań dyktowanych przez teraźniejszość i oczekiwanych z myślą o przyszłości. Oby taka filozofia zwyciężyła i w stosunkach polsko-ukraińskich oraz polsko-rosyjskich. Wyzwaniem pozostają: pertraktacje między Polską a Białorusią.

Proponuję, by sukces na linii Warszawa-Wilno rozciągnąć i na Rygę, zwłaszcza że z Łotwą mieliśmy tradycyjne dobre układy. Na to ożywiecie oczekują Polacy mieszkający w zwartych skupiskach w rejonie Dyneburga. Wspominam mile moje rozmowy, wizytę w Krasławiu (szkoła, plebania, cmentarz). Burmistrz Dyneburga powiedział nam przed miesiącem, że Polacy są ozdobą bukietu, na który składają się różne nacje i wyznania.

W KOMISJI EDUKACJI, NAUKI I POSTĘPU TECHNICZNEGO

Nadzieja w wyższych szkołach zawodowych

Panie Marszałku, Panie Posłanki i Panowie Posłowie

Rozpoczynamy tę debatę za późno, więc zróbmy przynajmniej wszystko, by była rzeczową, a marzy mi się, by była ona i na miarę przełomu, którego pierwsze symptomy są przez optymistów dostrzegane, przełomu przez rząd zapowiadanego, a przez wszystkich oczekiwanego. Łatwo nam przychodzi przypominanie zaniedbań i błędów z lat minionych, chętnie szukamy winnych, zwłaszcza w obcych szeregach, zawsze znajdują się zwolennicy zdobywania poklasku, popisów retorycznych. I tylko można wówczas zapomnieć o prawdzie podstawowej, że mamy do czynienia z kwestiami ważnymi nie dla poszczególnych partii, nie dla ambitnych polityków, ale decydującymi o losie narodu i państwa. Z lubością cytuje się - tak stało się i dziś - wypowiedzi autorytetów światowych o decydującym dla losów państw wpływie inwestycji w szkolnictwo wyższe; badania naukowe i rozwój technologiczny. W oficjalnych wypowiedziach wiąże się polską rację stanu z wymogiem wydatnego podniesienia poziomu cywilizacyjnego, przypomina prognozę PAN o wieku XXI jako stuleciu informacji, wiedzy i intelektu.

A rzeczywistość głośno skrzeczy. Najpierw raz jeszcze, w zgodzie z tonem wypowiedzi kolegi Premiera i pana Ministra chcę powiedzieć, że został już wykonany znaczący wysiłek w dziedzinie reformowania szkolnictwa wyższego i nauki przez gremia bezpośrednio związane z obu prezentowanymi dzisiaj dziedzinami. Mówiono m. in. podczas inauguracji nowego roku akademickiego o opracowanych programach nauczania, stałym zwiększaniu liczby studentów, tworzeniu nowych kierunków i specjalności, wzmacnianiu kontaktów zagranicznych, upowszechnianiu trzystopniowego systemu studiowania: licencjat - magisterium - doktorat. A wszystko - o paradoksie - w warunkach nasilającej się biedy, przy nadal trwającym odpływie kadry i powiększającej się luce pokoleniowej, utrzymujących się relikwach starego systemu zarządzania.

Prawdą jest jednak, że o ile silne ośrodki akademickie walczą z biedą i reformują się jednocześnie, słabsze zdecydowanie więcej wysiłku poświęcają wyłącznie zabiegom o przetrwanie, a wyjściem najprostszym bywa dla nich zwiększenie liczby przyjęć na studia płatne bez należytej troski o poziom i jakość oferowanego wykształcenia, Taka tendencja budzi nasze szczególne obawy.

Młodzi ze wsi i miasteczek nie tylko z własnej winy przegrywali i przegrywają nadal częściej od koleżanek i kolegów z dużych miast batalię o indeksy renomowanych szkół wyższych. Z tym - smutne to - pogodzili się już chyba wszyscy, ale teraz „prowincjusze” tracą także szansę dostania się na studia bezpłatne w uczelniach bardziej im dotychczas sprzyjających, na przykład w Wyższych Szkołach Pedagogicznych, filiach lub wydziałach terenowych. Przegrywają w egzaminach konkursowych, bo liczba chętnych rośnie szybciej niż liczba miejsc, a nie mają pieniędzy na „kupowanie” indeksów. Słowo kupowanie opatrzam cudzysłowem, bo jest w tym stwierdzeniu zamierzona przesada, bo taka forma rekrutacji odbywa się przynajmniej w części zgodnie z istniejącymi przepisami. Jeśli jeszcze teraz zapowiemy, że zbliża się szybko pora wprowadzenia odpłatności pełnej lub częściowej na wszystkich kierunkach studiów stacjonarnych, to wywołamy reakcję zniechęcenia wspomnianych już z przekorą prowincjuszków, do których mam też zaszczyt się zaliczać.

Wiemy, że tak jest w krajach zachodnich, ale najpewniej zbliżymy się do nich pod względem poziomu dochodu mieszkańców, przerwijmy pogłębiający się podział cywilizacyjny wewnątrz Polski. Starannie też wykonajmy obliczenia nie tylko finansowe, ale skutków społecznych, postawmy na nogi system stypendialny, uszanujmy rosnący wysiłek osób obarczonych utrzymaniem kształcących się dzieci. Dobrze, że mówił o tym dziś pan minister Czarny.

W zamierzeniach przedstawionych w druku sejmowym nr 1257 wskazano na potrzebę utworzenia uczelni zawodowych zlokalizowanych w mniejszych ośrodkach, współfinansowanych przez samorządy. Przekonywująco brzmią argumenty za takim rozwiązaniem, zresztą też z powołaniem się na wzory zagraniczne. I dobrze też, że MEN dostrzega już teraz groźbę zamiany owego kształcenia zawodowego w kształcenie paraakademickie. Trzeba będzie wyraźnie określić zasady współdziałania szkół zawodowych (licenciackich) z uczelniami akademickimi, prosić te drugie o pomoc i nadzór, tak jak pilnie trzeba też ujednoczyć przepisy dotyczące szkół wyższych publicznych i prywatnych. Czy te zawodowe mają się stać szkołami samorządowymi i co na to samorządy po doświadczeniach z tak zwanym pilotażem? Czy nim przystąpimy do tworzenia uczelni zawodowych nie należy sporządzić mapy z planowanymi (przewidywanymi) uniwersytetami, politechnikami, akademiami? **Jeden z wysokich dyskutantów wyższe szkoły zawodowe uznał za dużą szansę dla ubogiej młodzieży. Przypomina mi się porzekadło: „Dlaczegoś biedny? - bom głupi. A dlaczegoś głupi? - bom biedny”. Nie pływamy bezwolnie tym korytem.**

Pieniądże - o nich mówić pewnie będą dziś wszyscy występujący w debacie - potrzebne są na inwestycje, pomoc materialną dla studentów, ale przede wszystkim na zatrzymanie degradacji kadry. Ci najbardziej rzutcy i sławni radzą sobie, niestety rezygnując w znacznej mierze z pełnienia misji cywilizacyjnej, z wychowywania godnych następców. Przedśmiewcy twierdzą nawet, że naukowcy to przeżyją, padnie wkrótce nauka i wyższe szkolnictwo.

Pominę kwestię tak oczywistą i tak okrutnie zaniedbaną jak regulacje płac w szkolnictwie wyższym i nauce, nie tylko zresztą nauczycieli akademickich i pracowników nauki wymienio-nych w projekcie rezolucji, ale również pracowników obsługi. Zgłaszam natomiast pilny postulat ustanowienia preferencji dla kolegów rozpoczynających karierę naukową. Z danych załączonych do druku nr 1257 wynika na przykład, że liczba stopni doktora nadanych w uczelniach MEN oraz na KUL-u w 1994 r. była niższa niż w 1990 r., a liczba stopni doktora habilitowanego drastycznie niższa. Szkoda czasu na cytowanie innych wskaźników, tę prawdę znamy dobrze z historii: chore, słabe pokolenia wydają z reguły jeszcze słabsze od siebie. Trzeba zatem natychmiast ograniczyć rozmiary i skutki opisywanego wielokrotnie faktu istniejącej już dziś luki pokoleniowej w środowiskach akademickich i pracowników naukowych. Dodam, że i w tym przypadku największe trudności mają absolwenci szkół wyższych nie będący stałymi mieszkańcami ośrodków akademickich.

Zamierzenia w zakresie reformowania szkolnictwa wyższego, jeśli mają być realne, muszą zostać po dyskusjach i uzupełnieniach zaakceptowane przez wszystkich partnerów od uczelni poczynając. Stanowisko konferencji rektorów uczelni autonomicznych z dnia 8 września - wspomniane przez posła-sprawozdawcę - zawiera taką deklarację poczucia moralnej współodpowiedzialności, precyzuje cele proponowanych zmian (między innymi zbudowanie akademickiego systemu akredytacyjnego), założenia systemowe (tu jawi się i problem włączenia w jeden organizm wszystkich szkół wyższych, instytutów naukowych PAN, instytutów badawczych o randze instytutów państwowych i chcę jeszcze zwrócić uwagę na koncepcję Regionalnych Rad Akademickich).

Zarazem rektorzy podnoszą konieczność wzmocnienia autonomii szkół wyższych określając zadania dla Akademickiej Komisji Akredytacyjnej i Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego. W odrębnym dziale znalazł się zapis takiego corocznego podnoszenia poziomu finansowania szkolnictwa wyższego i nauki, by w 2000 roku osiągnąć poziom istniejący w krajach Unii Europejskiej. Jeśli nie uczynimy tego wysiłku, to po wejściu do Unii Europejskiej padniemy ofiarą procesu drenażu mózgowi zajmując miejsce w grupie krajów ubogich i zapóźnionych, skazanych na taskę i nielaskę bogatych liderów. O tym wiedzą chyba już wszyscy, to potwierdzili w przekazanym nam raporcie eksperci Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju.

Łatwiej mi mówić o szkolnictwie wyższym, bo jestem nadal jednym z nauczycieli akademickich. Wspomnę więc już tylko hasłowo o potrzebie przechodzenia do „nauki innowacyjnej”, zamianie modelu liniowego na interakcyjny, wzmacnianiu powiązań pionowych przez rozwój tzw. „czwartego sektora” (informatyki), odejściu od nadto sformalizowanych struktur, między innymi po to, by bardziej realnym uczynić postulat badań interdyscyplinarnych, lepiej powiązanych z gospodarką (zaczyna się nawet pisać o zmianie sylu zachowania się badaczy przez przechodzenia od „modelu Newtona” do „modelu przedsiębiorcy”).

Dobrze, że o tym wszystkim mówi się w Ministerstwie, na uczelniach, w instytucjach, naszych domach. **Dobrze, że otrzymujemy ekspertyzy, stanowiska, materiały publicystyczne i słychać coraz głośniejsze dzwonki alarmowe, ale czy zdolamy przewyżyć paradoks Kassandry przypominany przed kilkoma miesiącami przez prof. Witolda Karczewskiego. Cassandra ostrzegła ojca, że Troja padnie, nie zdolała go jednak przekonać, by podjął środki zaradcze.**

Podjęcie środków zaradczych z myślą o ratowaniu polskiego szkolnictwa wyższego i polskiej nauki posłowie Polskiego Stronnictwa Ludowego uznają za pilny obowiązek, dlatego bez potrzeby dodatkowego uzasadniania w imieniu całego Klubu opowiadam się za przyjęciem zarówno Deklaracji Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej o nadaniu edukacji i nauce priorytetu w polityce państwa, jak i za przyjęciem rezolucji w sprawie założeń polityki edukacyjnej oraz radykalnej zmiany polityki finansowania obu dziedzin.

Chcemy wyrazić uznanie tym wszystkim, którzy podjęli dzieło reformowania i przestrzec zarazem przed uznaniem ledwie zamierzeń za program pierwszych kroków, za dokonujący się przełom, a dzisiejszej debaty sejmowej za ewidentną zapowiedź bliskiego sukcesu.

Trwa diagnozowanie chorych organizmów, przybywa lekarzy, a nie brak i znachorów, zaczęto wypisywać recepty, każdy sobie, jak zwyczaj każe często tekstem trudnym do odczytania. Trwa przeglądanie mocno sfatygowanych portfeli. A czas płynie szybko.

Koleczy klubowi i zapewne także inni posłowie przedstawią rozliczne objawy zapaści, ja kończę z nadzieją, że stać nas na przełamanie paradoksu Kassandry, jeśli ... nie spoczniemy na laurach po odbyciu dzisiejszej debaty.

(Przemówienie w imieniu Klubu PSL w dniu 12 października 1995 r.).

W Polsce nie ustaje szum w środkach masowego przekazu na temat reformy oświaty, szkolnictwa wyższego i nauki. Trwają dyskusje w zainteresowanych środowiskach i... co kilka lat zaczynamy dzieło zmian od początku. Czy tak będzie i po wyborach do Sejmu III kadencji?

O Uniwersytet w Białymstoku

Panie Marszałku! Panie Posłanki! Panowie Posłowie!

Przypadł mi zaszczyt przedstawienia sprawozdania Komisji Edukacji, Nauki i Postępu Technicznego oraz Komisji Ustawodawczej o poselskim projekcie ustawy o utworzeniu Uniwersytetu w Białymstoku, 13 uniwersytetu w granicach Rzeczypospolitej Polskiej. Projekt ten zgłosiła grupa 70 posłów z różnych klubów i kół w dniu 8 sierpnia 1995 r. Poprzedziła ten fakt uchwała nr 67 Senatu Uniwersytetu Warszawskiego postulująca przekształcenie białostockiej Filii w samodzielny uniwersytet. W uzasadnieniu znalazły się wówczas argumenty, które wymienię bez podawania szczegółów i bez ich komentowania.

Filia jest porównywalna z uniwersytetem średniej wielkości, bo ma ponad 11 300 studentów, 635 nauczycieli akademickich, 17 tys. absolwentów studiów magisterskich. Istnieje od 1968 r. Ewidentne są potrzeby w tym względzie rozległego regionu północno-wschodniej Polski. Pracownicy Filii mogą wykazać się pokaźnym dorobkiem badawczym, utrzymują liczne kontakty naukowe, w tym zagraniczne. Bezporne jest oddziaływanie uczelni na mniejszości narodowe oraz skupiska Polaków zamieszkałych na terenach Białorusi, Litwy, Ukrainy, a jeszcze większe są oczekiwania w tym względzie. Wskazano również w uzasadnieniu na zagrożenia w przypadku odwołania decyzji o usamodzielnieniu Filii.

Według pierwszej wersji projektu Uniwersytet w Białymstoku miał być utworzony z dniem 1 października 1996 r. Projekt poselski trafił do Komisji Edukacji, Nauki i Postępu Technicznego. Filia nie spełniała jednak wszystkich kryteriów przyjętych przez Radę Główną Szkolnictwa Wyższego. Należało więc czekać na pomyślnie wieści z Białegostoku, te nadeszły wiosną br. W nowym, obszernym uzasadnieniu wniosku o powołanie Uniwersytetu w Białymstoku zawarto między innymi następujące dane: Nowy uniwersytet kształcić będzie ok. 15 tys. studentów. Już teraz Filia ma ich więcej niż pozostałe szkoły wyższe w Białymstoku. Wzrosło znacznie przesłankę geopolitycznych. Autorzy posługują się terminem Uniwersytet Pogranicza. Działają w całym regionie liczne organizacje wspierające ruch na rzecz powołania Uniwersytetu w Białymstoku. Uzyskano deklarację pomocy od władz administracyjnych i samorządowych oraz poparcie hierarchów kościołów: rzymskokatolickiego i prawosławnego. Poprawiła się wydatnie baza materialna. Filia zatrudnia już 134 samodzielnych pracowników naukowych, w tym 111 na pierwszym etapie. Jeszcze bardziej imponująco niż poprzednio przedstawia się lista publikacji, tematów badawczych, konferencji naukowych i innych inicjatyw. Licząc tylko od stycznia br. 5 pracowników Filii uzyskało tytuł naukowy profesora, 7 - stanowisko profesora zwyczajnego, 4 - profesora nadzwyczajnego i 7 - stopień doktora habilitowanego. Zapadły decyzje o powołaniu nowych kierunków studiów, rozbudowuje się struktura organizacyjna. Te dane świadczą o rozwoju Filii.

7 maja br. pozytywne stanowisko wobec projektu ustawy zajął rząd doceniając „wielki dorobek dydaktyczny i naukowy Filii UW w Białymstoku oraz mając na uwadze kulturotwórczy wpływ tej uczelni”.

8 maja projekt był tematem posiedzenia Komisji Edukacji, Nauki i Postępu Technicznego oraz Komisji Ustawodawczej z udziałem licznych gości, w tym z Ministerstwa Edukacji Narodowej, Uniwersytetu Warszawskiego i Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Po ożywionej dyskusji postanowiono powołać podkomisję nadzwyczajną.

14 maja Senat Uniwersytetu Warszawskiego podjął uchwałę nr 126. Zacytuję z niej tylko jeden akapit: „Senat uważa, że proces powstawania samodzielnego uniwersytetu w Białymstoku miał prawidłowy przebieg, gwarantujący osiągnięcie rzeczywistej dojrzałości akademickiej”. 22 maja Rada Główna Szkolnictwa Wyższego stwierdziła w uchwale, że „z satysfakcją obserwuje rozwój i wzrastającą rangę naukową filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku i jej ambicje osiągnięcia statutu uniwersytetu”. Jednocześnie przypominano, że Filia nie spełnia jeszcze jednego warunku, brakuje bowiem szóstego prawa do nadawania stopnia naukowego doktora i drugiego prawa do nadawania stopnia doktora habilitowanego. Natomiast spełnia, można rzec w nadmiarze inne warunki. Wobec tego Rada Główna uchyliła się od rozpoczęcia formalnej procedury zasięgnięcia opinii senatów trzech polskich uniwersytetów, niezbędnej do sformułowania własnej oceny wniosku o utworzeniu uniwersytetu w Białymstoku. Kilka godzin później, także 22 maja zebrała się podkomisja nadzwyczajna. Dyskusja skupiła się głównie na zastrzeżeniach Rady Głównej. Istotnie przynajmniej, Filia nie posiada owych dwóch uprawnień, ale wystąpiła już o nie. W styczniu br. Instytut Biologii skierował do Centralnej Komisji do Spraw Tytułów Naukowych i Stopni Naukowych wniosek – nazwijmy to skrótowo – doktorski. Zyskał on wstępną pozytywną ocenę, co przynajmniej członkowie Rady Głównej i w najbliższym czasie należy spodziewać się satysfakcjonującej decyzji. Z kolei Instytut Historii wystąpił z wnioskiem o przyznanie uprawnień do habilitowania, przedstawiając stosowne dane i opinie. Z analizy tego wniosku wynika, że Instytut spełnia niezbędne warunki, zatem oba wnioski wydają się być w pełni zasadne. W tej sytuacji wśród postów podkomisji przeważało zdanie, że Filia de facto spełniła wymagane warunki wyznaczone przez Radę Główną Szkolnictwa Wyższego, a przecież Sejm kończy swą kadencję i zbliża się początek nowego roku akademickiego.

Połączone Komisje Edukacji, Nauki i Postępu Technicznego oraz Ustawodawcza w dniu 3 czerwca – znów po długiej dyskusji – podzieliły ten punkt widzenia. Wyrażono nadzieję, że wkrótce wszystkie uchybienia zostaną usunięte i Uniwersytet w Białymstoku powstanie z dniem 1 października br. jako uczelnia w pełni godna tego miana. Po nieznacznym korektach, wzorując się w części na przyjętej przez Sejm II kadencji ustawie o utworzeniu Uniwersytetu Opolskiego, obie komisje wnoszą o uchwalenie przez Sejm prezentowanego dziś projektu załączonego w sprawozdaniu. Za taką konkluzją, co chcę tu podkreślić, opowiedziało się 26 postów, nikt nie był jej przeciwny, a jedynie 5 postów wstrzymało się od głosu. Uniwersy-

tet w Białymstoku tworzy się zatem - jeśli taka będzie wola Sejmu - z dniem 1 października 1997 r. Będzie to uczelnia państwowa, kształcąca oraz prowadząca badania naukowe w zakresie nauk prawnych, humanistycznych, ekonomicznych, matematyczno-przyrodniczych. Uniwersytet przejmie mienie Uniwersytetu Warszawskiego będące w zarządzie Filii UW w Białymstoku. Kolejne artykuły normują status pracowników, studentów, jednostek organizacyjnych. Do 31 grudnia br. Komisja Senacka UW ds. Filii w Białymstoku pełnić będzie funkcję Senatu Uniwersytetu.

Wątpliwości budził jedynie pkt 1 art. 5. Z nadesłanej 13 czerwca interpretacji MEN wynika, że w projekcie ustawy znalazł się wystarczający zapis, a w razie potrzeby można skorzystać dodatkowo z uregulowań Kodeksu Pracy.

Zatem - i to jest zdanie kończące - dwie połączone komisje wnoszą, by Wysoki Sejm uchwalił racyjny projekt ustawy o utworzeniu Uniwersytetu w Białymstoku.

(Wystąpienie moje jako posła sprawozdawcy w dniu 18 czerwca 1997 r.

Sejm w dniu następnym przyjął ustawę o utworzeniu Uniwersytetu w Białymstoku. Głosowało 381 posłów, za opowiedziało się 365, przeciw - 8, wstrzymało się 8 posłów.).

Ustawa z dnia 19 czerwca 1997 r. o utworzeniu Uniwersytetu w Białymstoku

Art. 1

- 1. Tworzy się a dniem 1 października 1997 r. Uniwersytet w Białymstoku, zwany dalej „Uniwersytetem”.**
- 2. Siedzibą Uniwersytetu jest miasto Białystok.**
- 3. Uniwersytet jest uczelnią państwową.**

Art. 2

Podstawowym kierunkiem działalności Uniwersytetu jest kształcenie oraz prowadzenie badań naukowych w zakresie nauk prawnych, humanistycznych, ekonomicznych i matematyczno-przyrodniczych.

Art. 3

Nadzór na Uniwersytecie sprawuje Minister Edukacji Narodowej.

Art. 4

- 1. Uniwersytet tworzy się z Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku.**

2. Mienie Uniwersytetu Warszawskiego obejmujące własność i inne prawa majątkowe będące w zarządzie Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku staje się mieniem Uniwersytetu.
3. Uniwersytet z dniem utworzenia przejmuje prawa i zobowiązania Uniwersytetu Warszawskiego dotyczące Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku.

Art. 5

1. Z dniem 1 października 1997 r.:
 - 1) pracownicy Uniwersytetu Warszawskiego zatrudnieni w Filii w Białymstoku stają się pracownikami Uniwersytetu,
 - 2) studenci Uniwersytetu Warszawskiego studiujący w Filii Uniwersytetu w Białymstoku stają się studentami Uniwersytetu.
2. Podstawowe jednostki organizacyjne Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku stają się podstawowymi jednostkami organizacyjnymi Uniwersytetu.
3. Jednostki organizacyjne Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, które przed dniem utworzenia Uniwersytetu posiadały uprawnienia do nadawania stopni naukowych, zachowują te uprawnienia po utworzeniu Uniwersytetu.
4. Osoby przyjęte na pierwszy rok studiów na rok akademicki 1997/1998 do Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku z dniem utworzenia Uniwersytetu stają się jego studentami.

Art. 6

1. Dotychczasowe organy kolegialne i jednoosobowe Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku stają się z dniem 1 października 1997 r. organami Uniwersytetu.
2. Komisja Senacka Uniwersytetu Warszawskiego do spraw Filii w Białymstoku pełni funkcję Senatu Uniwersytetu do dnia 31 grudnia 1997 r.
3. Do dnia 31 grudnia 1997 r. zostaną przeprowadzone wybory do Senatu Uniwersytetu oraz wybory dziekanów i rad wydziałów w trybie i na okres ustalony w statusie Uniwersytetu.

Art. 7

Ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

W URZĘDZIE DS. KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Moja służba

25 marca 1994 r. po rozmowach z premierami Waldemarem Pawlakiem i Aleksandrem Łuczakiem objąłem stanowisko kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w randze sekretarza stanu. Dlaczego się zdecydowałem? Po taka była potrzeba, bo czułem się niezłe przygotowanym z racji znajomości historii wojskowości i wcześniejszych kontaktów z tymi środowiskami.

Po kilku dniach urzędowania byłem przerażony ogromem obowiązków, słabością kadry, opóźnieniami w realizacji zadań statutowych. Należało przede wszystkim przyspieszyć wprowadzanie w życie postanowień ustawy z dnia 24 stycznia 1991 r., podjąć nowe prace legislacyjne i wyciszyć spory między poszczególnymi związkami kombatantów oraz osób represjonowanych. Spóźniona o kilka miesięcy zmiana personalna sprawiła, że musiałem „z marszu” sfinalizować obchody 50. rocznicy walk o Monte Cassino. Przygotowania do tych uroczystości trwały wprawdzie od dwóch lat, ale poprzednik przecenił siły Urzędu, popełnił kilka rażących błędów. m.in. zawierając umowy z „Mazowią”. Za to wszystko na mnie lunęła fala żalu i skarg, zażądano mojej dymisji.

Ku normalności

W następnych miesiącach Urząd odzyskiwał sprawność, pomocą służyli mi inni koledzy z rządu i PSL, powoli zdobywałem zaufanie kombatantów z kraju i zagranicy. Patronowaliśmy kolejnym wielkim uroczystościom, oznaczało to konieczność częstych wyjazdów, spotkań, uzgodnień. Przez ostatnie trzy lata środowiska kombatanckie nie wniosły istotnych zastrzeżeń do mojej działalności. Myślę, że mam prawo mówić o więziach przyjaźni z bardzo wieloma byłymi żołnierzami, partyzantami, sybirakami, osobami poddanymi represjom. Regularnie odbywały się spotkania w województwach, większych miastach. Taka aktywność sprzyja łagodzeniu konfliktów, ułatwia przekazywanie informacji i poznawanie losów Polaków. Temu samemu celowi służyły re-

gularnie organizowane konferencje prasowe, kontakty z dziennikarzami.

Przygotowaliśmy kilka projektów ustaw. Z nich w życie weszły m.in. następujące akty prawne: obszerna nowela do ustawy z 24 stycznia 1991 roku, ustawa o górnikach-żołnierzach, ustawa o osobach deportowanych do pracy przymusowej w III Rzeszy Niemieckiej i ZSRR. Senat przekazał też do Sejmu ustawę o dzieciach - ofiarach wojny. Można przyjąć, że łącznie ze świadczeń materialnych z tytułu walki o niepodległość oraz cierpień zadanych przez obu okupantów skorzysta dodatkowo dzięki trzyletnim staraniom Urzędu do pół miliona rodaków. Ogółem świadczenia materialne typu kombatanckiego pobiera aktualnie w Polsce ponad 900 tys. osób. Dodać jeszcze można starania o zniesienie podatków od dodatków kombatanckich, awanse i odznaczenia, utworzenie Wojewódzkich Rad Kombatanckich.

Nowe decyzje

Bardzo sobie cenię nawiązanie ścisłej współpracy ze środowiskami Polaków i Polonusów zamieszkałych poza granicami Kraju. Kombatancki z obszarów byłego ZSRR otrzymują stałe kwoty pieniężne, organizowana jest dla nich pomoc rzeczowa. Zdecydowana większość imprez z udziałem rodaków z różnych państw i kontynentów odbywa się już w Polsce przy współudziale Urzędu. Tematyka ta gości często na łamach miesięcznika „Kombatant”.

Stopniowo na plan pierwszy wybijały się jednak starania o poprawienie systemu opieki zdrowotnej i pomocy społecznej. Szczególnie dużo troski i czasu poświęciliśmy Domom Kombatanta. Ponadto Urząd wspierał rocznie budowę około 40 pomników i tablic, wydanie 30-40 książek i czasopism, pomagał w organizowaniu wystaw, wyjazdów zagranicznych grup kombatanckich i imprez krajowych.

Zwieńczeniem działań integrujących kombatanatów mają być obrady „okrągłego stołu”. Można będzie wówczas przyjąć i tekst wspólnego przesłania do młodego pokolenia. To ma być główny składnik „testamentu polskich kombatanatów”. A 1 września rozpoczęliśmy obchody Dnia Weterana, obrońcy Ojczyzny otrzymują patenty weteranów walk o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej.

Mam prawo stwierdzić, że udało się na tyle poprawić i wzbogacić kontakty z kombatanatami, iż wspólnie planujemy kolejne przedsięwzięcia. Cieszę się, że często dołączają do nas władze wojewódzkie i samo-

rządowe, na uroczystości przybywają księża, utrzymuje się duże zainteresowanie tą tematyką w społeczeństwie. Dużo zostało jeszcze do zrobienia.

Weryfikacja

Trudnym problemem jest wciąż weryfikacja uprawnień nadanych wcześniej przez ZBoWiD oraz zakończenie procedowania nowych wniosków. Są to sprawy często drażliwe, skomplikowane w warstwie historycznej i prawnej. Konieczna jest w tej mierze pomoc etatowa dla Urzędu i stowarzyszeń. Natomiast kontrowersje historyczne muszą rozstrzygać badacze, a nie byli żołnierze. Stronici należą też stanowczo od upartyjniania problemów kombatanckich. Wydaje się, że celowym byłoby utworzenie Ministerstwa Pamięci Narodowej poprzez połączenie Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa, a może również Głównej Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu.

Zgłaszanie nowych wniosków o uzyskanie statusu kombatanta kończy się z dniem 31 grudnia br.

Co dalej?

Powrócę jeszcze do wizji okrągłego stołu kombatanckiego. Na czym można i należy skupić główną uwagę? Po pierwsze na ocenie sytuacji w polskich środowiskach kombatanckich, także poza granicami RP, sposobach wzmocnienia procesów wzajemnego zrozumienia i zbliżenia, na propozycjach organizacyjnych. Po drugie na wychowaniu patriotycznym i przesłaniu kombatanckim do młodego pokolenia. Trzeba także ustalić relacje między historią a teraźniejszością, określić oczekiwania kombatantów wobec historyków i opracować przesłanie do narodów Europy z apelem o pojednanie w imię pokoju. Ważniejszą z każdym dniem i tygodniem staje się opieka nad kombatantami, oczekiwania w tej mierze środowisk, stworzenie karty kombatanta (weterana).

Czy dojdzie szybko do obrad okrągłego stołu kombatanckiego?

List otwarty

do wojewódzkich rad i porozumień kombatanckich

Szanowni kombatancki

Kończy się okres wielkich rocznic w Polsce i Europie. Z pewnością jeszcze wielokrotnie powrócimy do nich we wspomnieniach, będziemy analizować potknięcia i nie do końca wykorzystane szanse zaprezentowania ogromu polskiego wysiłku militarnego, dramatycznych losów naszego narodu. Nie ulega jednak wątpliwości, że największą rolę podczas uroczystości nawiązujących do wydarzeń sprzed lat kilkudziesięciu spełnili właśnie kombatancki i osoby represjonowane, że dzięki ich zaangażowaniu mogliśmy te rocznice obchodzić godnie i uroczystie.

Dziękuję pięknie za taką postawę i za możliwość towarzyszenia Państwu, przeżywania razem chwil podniosłych.

Kończy się świętowanie, powracają bólączki codziennego bytowania. Stają przed nami nowe zadania. Podejmują je energicznie zarówno Urząd ds. Kombatanctów i Osób Represjonowanych, jak i Wojewódzkie Rady Kombatanckie, moi pełnomocnicy.

Jeśli będziemy gotowi do zgodnej współpracy szybciej uporamy się z postulatami zgłaszanymi przez stowarzyszenia i środowiska.

Jeśli będziemy gotowi do zgodnej współpracy...

Problemem numer jeden jest nowelizacja ustawy kombatanckiej z 24 stycznia 1991 roku. Postłowie Parlamentarnego Zespołu Tradycji Niepodległościowej złożyli już w Sejmie projekt zawierający poprawki do tej ustawy. Zbierane są też podpisy pod projektem opracowanym przez grupę kombatanctów na zlecenie Klubu Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Oba projekty zawierają w kilku punktach całkowicie przeciwstawne rozwiązania.

Projekt przygotowany na zamówienie SLD przewiduje na przykład, że uprawnienia kombatanckie straci tylko ten, kto w latach 1944 - 1956 był zatrudniony lub pełnił służbę w charakterze funkcjonariusza organów bezpieczeństwa publicznego, informacji wojskowej, prokuratury wojskowej, sądownictwa lub służby więziennej, jeżeli przy wykonywaniu czynności służbowych dopuścił się zabójstwa, innej zbrodni lub przestępstwa i za to:

- został skazany prawomocnym wyrokiem sądu
- postępowanie karne umorzono ze względu na znikomy lub nieznaczný stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu,
- został dyscyplinarnie wydalony ze służby lub pracy.

Projekt ten nie pozbawia też wdów i wdowców przyznanych im uprzednio uprawnień kombatanckich po zmarłych kombatanckich, choćby - zgodnie z ustawą - obecnie uprawnienia te im nie przysługiwały. Nie pozbawia się również uprawnień uczestników wojny domowej w Hiszpanii lat 1936-1939.

W projekcie zgłoszonym przez Parlamentarny Zespół Tradycji Niepodległościowych znalazł się m. in. zapis o przyznaniu uprawnień kombatanckich obywatelom polskim odznaczonym przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, nie ma natomiast w nim artykułów stabilizujących funkcje pełnomocników wojewodów oraz pominięto kwestię terminu zakończenia składania wniosków o przyznanie uprawnień kombatanckich.

Dobiegły końca konsultacje nad projektem, który powstawał w naszym Urzędzie. Staraliśmy się uzyskać consensus i rzeczywiście jest on bliski. Pełnej akceptacji nie uzyskaliśmy dwie propozycje. Pierwsza stworzyłaby możliwość pozbawienia uprawnień kombatanckich tych osób (bez względu na ich przynależność organizacyjną), które dopuściły się zbrodni wobec osób cywilnych. Druga pozwoliłaby w wyjątkowych przypadkach żołnierzom II wojny światowej i partyzantom, którzy po wojnie znaleźli się w służbach bezpieczeństwa (np. rozkazem skierowani tam z frontu), ale nie wykonywali zadań związanych ze zwalczaniem organizacji oraz osób działających na rzecz suwerenności i niepodległości Polski, na przedstawienie dowodów swojej niebrodniczej postawy. W pierwszym przypadku chodzi o nienagradzanie honorowe i materialne osób obarczonych piętnem zbrodni, w drugim - o możliwość indywidualnego, opartego na dokumentach zbadania przeszłości tych, którzy w skomplikowanych okolicznościach trafili do służb bezpieczeństwa, nie zwalczali jednak osób i organizacji działających w obronie suwerenności i niepodległości Polski. W celu wykluczenia zarzutu o ewentualnych manipulacjach urzędników proponuję, by w obu wymienionych przypadkach decyzje kierownika Urzędu ds. Kombatantów poprzedzała konsultacja z przedstawicielami związków kombatanckich.

Zbierając różnorakie uwagi i zarzuty zmierzałem do godzenia środowisk kombatanckich, ochrony ich przed rozgrywkami politycznymi, naporem kombinatorów, pozornych przyjaciół i rzeczników. Zmiany w tym kierunku postępują wolno, a widoczne są już nowe zagrożenia. Czy znów ma powrócić wojna kombatancka?

Proponuję odbycie w najbliższych dniach posiedzeń Wojewódzkich Rad Kombatanckich (spotkań prezesów wszystkich organizacji, jeśli rada jeszcze nie powstała), a po 20 czerwca wspólne spotkanie przewodniczących Wojewódzkich Rad Kombatanckich dla zaprezentowania opinii i wniosków z całej Polski. Zdecydujmy wspólnie, co dalej czynić.

Z wyrazami głębokiego szacunku

prof. Adam Dobroński

Warszawa 8 czerwca 1995 r.

Prawo lodówki

– Zapowiadał pan, iż niebawem dojdzie do okrągłego stołu kombatantów. Nic z tego nie wyszło.

– Pomysł przedstawiłem Radzie Kombatanckiej przy Urzędzie, która jest społecznym ciałem łączącym różne środowiska, również emigracyjne i uzyskałem odpowiedź, że też odczuwają taką potrzebę, ale wcześniej musi być konsensus w sprawie nowelizacji ustawy kombatanckiej. Nie ma sensu zasiadać do stołu, by kolejny raz wygłaszać pretensje.

– Czy kompromis jest możliwy?

– W pewnych punktach został już osiągnięty, choćby w sprawie b. żołnierzy i partyzantów, którzy znaleźli się w UB i Informacji Wojskowej. Chcemy tu wprowadzić element kombatanckiej samoweryfikacji. Rada Kombatancka zadecyduje o składzie komisji, której zainteresowane osoby przedłożą dowody, że ich kontakt z tymi instytucjami był krótki, działali raczej na ich obrzeżach, a może na rozkaz.

Nie ma natomiast kompromisu wobec osób utrwalających władzę ludową i taki tytuł do kombatanckich uprawnień nie może znaleźć się w ustawie, której preambuła mówi przecież wyraźnie o walce o Polskę suwerenną. Natomiast weźmiemy pod uwagę, czy niektóre z tych osób nie należy traktować jako mimowolne ofiary systemu pojałtańskiego. Mam na myśli żołnierzy z poboru, nie oficerów, których wcielono do wojska, a potem kierowano do walki przeciwko podziemiu.

– Dlaczego środowisko kombatanckie jest tak podzielone?

– Podzielone było podczas wojny, a potem przez 45 lat działało prawo lodówki. Zatajano historyczną prawdę. Została ona ujawniona w sytuacji niekorzystnej dla środowisk kombatanckich, kiedy odeszli już oficerowie mogący zaświadczyć prawdę. Są i przyczyny subiektywne, wynikające z nadmiernej potrzeby dowartościowania się, z ambicji niektórych prezesów, animozji wynikających z pamiętliwości, a niekiedy i z sytuacji, których nie można zrozumieć.

– Widać zabiegi partii o kombatancki elektorat. Czy to też nie przeszkadza w pojednaniu środowiska?

– Kombatanci to bardzo zdyscyplinowany elektorat i partie starają się mieć z nimi dobre układy i powiązania personalne. Część parlamen-

tarzystów SLD mocno sympatyzuje ze środowiskiem Armii Ludowej, z b. milicjantami i osobami utrwalającymi władzę ludową, czego przykładem było spotkanie 17 stycznia br. w Sejmie. Niepodległościowe organizacje kombatanckie ciążą do ROP. Są środowiska kombatanckie, które słowo „Solidarność” wprowadziły do swoich nazw. Bataliony Chłopskie najbliższe są PSL i to ta głównie partia przeforsowała ustawę o żołnierzach-górnikach, którzy rekrutowali się przeważnie ze wsi. Mamy też inne przykłady. Grupa posłów z mniejszości niemieckiej chce polskimi uprawnieniami objąć żołnierzy Wehrmachtu, a Unia Wolności podnosi sprawę represjonowanych Ukraińców i osób ukrywających Żydów. KPN to Legiony i NSZ itd.

– Czy Urząd zostanie kiedyś zlikwidowany, a pan jako historyk pozostanie jedynie kustozem narodowej pamięci?

– (...) Stale proponowane są nowe tytuły do korzystania z uprawnień. Mówi się o członkach „Solidarności” okresu wojennego. Z PSL-owskiego środowiska płyną głosy, by usatysfakcjonować chłopów, którzy ponieśli konsekwencje ze niewywiązywanie się z dostaw obowiązkowych. Roszczenia wysuwają ci, którzy pracowali w batalionach budowlanych, saperzy rozminowujący po wojnie polską ziemię, cywile, którzy utracili wzrok podczas działań wojennych, dzieci wojny itp.

Jako historyk mogę potwierdzić, że setki tysięcy osób spotkały w Polsce różne szykany i represje, ale nie widzę możliwości podciągnięcia wszystkich tych zdarzeń pod kombatanctwo czy represje wymagające szczególnych świadczeń materialnych. Sądzę jednak, że niektórym spośród tych grup należy się jakiś gest sprawiedliwości, choćby w uchwale Sejmu, a może i rekompensata materialna.

– (...) Czy rozdarłe kombatanckie środowisko pozostawi jakiś ideowy testament dla młodego pokolenia?

Bardzo bym tego pragnął. Impulsem może tu być planowane spotkanie prawie 10 tys. kombatanatów z papieżem Janem Pawłem II w Gorzowie. Środowisko kombatanckie coraz silniej odczuwa potrzebę stworzenia takiego dokumentu, a także zakończenia narodowej dyskusji na temat sposobów upamiętniania polskiego czynu zbrojnego.

(Fragmenty wywiady przeprowadzonego przez pana Marka Henzlera, a opublikowanego w „Polityce”, nr 19 z 10 maja 1997 r.)

Ojcie Święty

My, kombatanaci polscy, żołnierze wszystkich frontów II wojny światowej, chylimy głowy prosząc Waszą Świątobliwość o papieskie błogosławieństwo.

Jesteśmy ludźmi u schyłku swoich dni.

*Ponad pół wieku temu stanęliśmy w obronie Ojczyzny, którą zmo-
wa dwóch imperialnych mocarstw zamierzała na zawsze wykreślić
z mapy Europy. Podjęliśmy walkę w obronie narodu skazanego na za-
glądę. Sięgnęliśmy po broń w słusznej sprawie obrony życia i ludzkiej
godności. Walczyliśmy pod sztandarami, na których widniały słowa:*

BÓG, HONOR i OJCZYZNA

*Towarzyszeli nam w walce duszpasterze niosąc pociechę w cier-
pieniu i wsparcie w chwilach zwątpienia. Byliśmy świadkami niewy-
obraźalnych zbrodni i nieludzkiego okrucieństwa. Patrzyliśmy na
masową śmierć, pogardę i nienawiść. Wstąpiliśmy w szeregi walczą-
cych nie z nakazu, lecz z zakorzenionego poczucia obowiązku wobec
Narodu i Państwa. Tak nam nakazywał honor i umiłowanie tradycyj-
nych wartości.*

*Zakończyliśmy zbrojną walkę z hitlerowskim najeźdźcą w gronie
państwa zwycieskich, ale zwycięstwo nie przyniosło upragnionej wol-
ności i godnego miejsca w rodzinie wolnych narodów. Podporządko-
wano nasz kraj obcym interesom, zmieniono granice i miliony ludzi
wygnano z domostw skazując na tułaczą poniewierkę, narzucono ob-
ce idee, zantagonizowano społeczeństwo, zastraszone terrorem i zde-
prawowano, do rangi cnoty podnosząc donosicielstwo, służalczość
i kłamstwo, fałszowano historię i urągano wierze, w której byliśmy
wychowani.*

*Ci, którzy nie mogli się z tym pogodzić, zapelniali katownie Urzę-
dów Bezpieczeństwa i NKWD-owskie łagry na nieludzkiej ziemi, pa-
dali ofiarami zniewolonych sądów, ginęli od kul i tortur, grzebani
w nieznanym i do dziś nie ujawnionych miejscach.*

*Przez wiele powojennych lat wraz z całym społeczeństwem podno-
siliśmy z ruin miasta i spalone wsie. Jesteśmy dumni z dokonań powo-
jennej odbudowy. Z uleczeniem zranionej duszy Narodu szło jednak
o wiele trudniej.*

Dzięki wstawiennictwu Waszej Świątobliwości Bóg pozwolił nam doczekać Polski wolnej, powracającej w krąg kultury europejskiej, opartej na tradycyjnych wartościach chrześcijańskich, na zgodnych z nauką Kościoła zasadach moralnych i obyczajowych. Z myślą o przyszłości chcielibyśmy uwolnić młode pokolenia Polaków od gorzkiego dziedzictwa krzywd, urazów, cierpień i upokorzeń. Chcemy, by myśl ich była wolna i zróżnicowana, lecz nie wroga i nienawistna.

Chcemy, by Bóg obdarzył młodych Polaków wrażliwością na cudzą niedolę i łaską odróżniania dobra od zła, prawdy od kłamstwa. Uważamy jednak za konieczne ostrzec nasze dzieci i wnuki, że dobro i prawda nie zawsze są wolne od zagrożeń i że zagrożeniom tym trzeba się przeciwstawiać zanim urosną do rozmiarów kataklizmu. Tego nas nauczyło nasze długie, kombatancie życie.

Modlimy się:

o jasną przyszłość naszej Ojczyzny,

o godne życie Polaków,

o dobre imię Polski wśród narodów świata,

o spokój duszy naszych kolegów poległych w obronie Ojczyzny i zamordowanych za swoje przekonania.

Prosimy Waszą Świątobliwość o orędownictwo, by Bóg zechciał wysłuchać naszej pokornej modlitwy.

Warszawa, dnia 2 kwietnia 1997 roku.

Z wypowiedzi Jana Pawła II w Gorzowie
„Są pośród nas również żołnierze kombatanci, przedstawiciele organizacji kombatancie z Polski i z zagranicy. Dziękuję dzisiaj synom naszego narodu za to, że nie szczędzili ofiar i wyrzeczeń, broniąc najwyższych wartości: wolności i godności człowieka. Ze szczególną miłością myślimy o Sybirakach, o ich rodzinach, o wszystkich tu obecnych i pozostających w innych częściach kraju lub na emigracji”.

Bajka kombatancka

Onegdaj podczas jednej z sesji niebiańskiego parlamentu porwócono do nowelizacji ustawy zasadniczej znanej na ziemi pod nazwą Biblii. Dwa kluby koalicyjne: świętych i błogosławionych zgłosiły postulat powiększenia grona ludzi godnych, szanowanych z racji czynów bohaterskich, tudzież bezinteresownych dokonań dla współbraci, a nadto pielęgnujących cnoty rycerskie. Marszałkujący św. Józef zajrzał do regulaminu i powołał komisję nadzwyczajną, ta rozpoczęła niezwłocznie obrady. Azalisz już wśród koalicjantów wynikły różnice zdań, zwłaszcza przy określaniu kryteriów, którymi winni się charakteryzować owi godni. Ktoś rzucił niebacznie przestrogę: uważajmy, bo w przyszłości może okazać się niezbędną weryfikacja. Padła z sali propozycja - ponoć kogoś z frakcji nadwiślańskiej - by bohaterów tych ubrać w mundury, dać im szarże, medale, sztandary, ale nie broń, bo czy godzi się zachęcać kogokolwiek do walki.

Niestety, do dyskusji włączyła się opozycja niebiańska o skłonnościach prawicowych w przekonaniu własnym łagodna i wielce rozumna, chyba jednak dająca od czasu do czasu posłuch mocom nieczystym. Z jej inspiracji zapisano jeszcze jeden wyróżnik owej społeczności ludzi godnych - świadczenia pieniężne.

Zaśmiał się w tej chwili Lucyper w piekle.

Widząc co się dzieje marszałek celowo odraczał drugie czytanie projektu. A na ziemi zanosilo się na nowe wojny, karlały plemiona i narody, narastała wrogość wzajemna, deprawowała się młodź.

Wreszcie wyznaczono sprawozdawcę. Święty Florian, doświadczony opiekun rycerzy od walki z ogniem gromko, a chwilami i rzewnie dowodził celowości powiększenia na ziemi grona ludzi godnych, zatem i starszych wiekiem, sprawdzonych w bojach wszelakich, oczyszczonych przez wierną służbę, nierzadko cierpienia.

Nie wierząc do końca technice - diabelskie to narzędzie - przyjęto tekst przez aklamację, rozległy się dźwięki trąb, wyznaczono delegację do Najwyższego.

Pan niebios i ziemi wysłuchał wysłanników, zadumał się, ważył celowość propozycji. Po chwili dłuższej On w swej miłości nieogarniętej postanowił ubogacić ród ludzki,

dodać szeregi mężów godnych, dzielnych, wiernych do końca składanym przysięgom. W swej zaś łaskawości nie zanegował ani potrzeby wyróżników honorowych, ani nawet dodatków materialnych. I chcąc, by lepiej służyli przykładem braciom i siostram dodał im jeszcze moc opowiadania o swych czynach, upór w świętowaniu rocznic, łatwość zakładania związków stowarzyszeń, dbałość

nie tylko o własne biografie,
ale także towarzyszy oraz kolegów.

Stało się więc, tak sam Pan powołał ... kombatantów. Tu kończy się bajka, kombatanci są wśród nas. Cieszymy się a autentycznie z tego, życząc im zdrowych, pogodnych i długich lat życia.

Mam również nadzieję, że wybaczą mi ten żart.

Czy możliwe jest pojednanie?

Pamiętam aż nadto dobrze przygotowania do 50. rocznicy zdobycia Monte Cassino. Na sympozjum zorganizowanym w Warszawie wystąpił między innymi młody ładnie się uśmiechający pułkownik w mundurze niemieckim. Przedstawił nam swoje oceny walk we Włoszech. Z zaskoczeniem słuchaliśmy, iż to nie prawda, że Polacy zdobyli wzgórze ze zburzonym klasztorem. Oni je tylko zajęli - dowodził historyk z Bundeswehry - po planowej ewakuacji wykonanej przez niemieckich spadochroniarzy. A w ogóle walki o Monte Cassino sławią według wspomnianego pułkownika bardziej obrońców niż nacierających, bo ci pierwsi w malej liczbie potrafili przez kilka miesięcy odparować natarcia alianckie.¹

W kilka dni później odbywały się uroczystości we Włoszech. Program ułożony przez Komitet Międzynarodowy przewidywał wspólną defiladę kombatantów wszystkich stron zaangażowanych w walki w rejonie Monte Cassino do maja 1944 roku. Ten punkt jubileuszowych ceremonii zbojkotowali tylko Polacy, sektor na stadionie przeznaczony dla byłych żołnierzy II Korpusu gen. W. Andersa świecił pustkami.

¹ Czy to prawda, że jeden ze szczepów harcerskich w szacownym mieście wojewódzkim przyjął imię „Obrońców Monte Cassino”?

Później też bywało różnie, ale częściej już mówiono i pisano o gestach przyjaznych kombatantów polskich i niemieckich. Powody do zadowolenia miał i ma pastor Johannes Gehrman. Próby pobratania marynarzy Kriegsmarine z obrońcami Westerplatte podjął on jeszcze w 1993 r. I stało się, westerplattczyk ppłk Stanisław Trela podał rękę Martinowi Menzlowi, celownicemu pancernika „Schleswig-Holstein”. Zaczęły się spotkania w ciechocińskim sanatorium „Gracja”, zaplanowano porządkowanie grobów żołnierskich polskich i niemieckich, w Koninie zaś byłem uczestnikiem odsłonięcia „Stacji pojednania”. Nie brakuje jednak nadal przeciwników tego zbliżenia, powtarzane są wzajemne oskarżenia i podejrzenia.

Za jaskółką wypuszczoną przez kanonika J. Gehrmana wyleciały i inne, interesujące kontakty nawiązało środowisko „Synów pułku”, opisano pierwsze umowy między stowarzyszeniami kombatantów i rezerwistów z obu stron Odry. Szczególnie okazałe prezentuje się współpraca wojskowa, czego dowodem wspólne manewry, wymiana doświadczeń, a znosi się ponoć i na połączony oddział.

Powróćmy jednak do kombatantów. Powstańcy warszawscy też mają swoje spotkania z Niemcami w Karwicy. Obok „świadków historii” przybywają tam badacze i młodzież. Odczucia wśród najstarszych uczestników nie są zgodne, choć akceptuje się na ogół kontynuowanie dyskusji. Mniejszość protestuje i na przykład z Gdańska napłynęły do Warszawy wyrazy oburzenia z powodu spotkania w przyjaznej atmosferze z wrogami. Postawiono zarzut „zdrady pamięci poległych przyjaciół, towarzyszy broni”.

Przy okrągłym stole w Warszawie

W Sali Kościuszkowskiej Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk na warszawskim Starym Mieście zebrało się 13 lutego br. wyjątkowo dużo chętnych do dyskusji nad przebaczeniem i pojednaniem polsko-niemieckim. Dość zgodnie powtarzano, że żołnierz nie musi przebaczać drugiemu żołnierzowi, że do niego strzelał na wojnie, bo takie przecież miał rozkazy, to było zgodne ze złożoną przysięgą na wierność ojczyźnie. Często jednak agresorzy (okupanci) z żołnierzy zamieniali się w zbrodniarzy, nie przestrzegali ustaleń konwencji międzynarodowych, kierowali się nakazem zemsty lub faszystowską (bolszewicką) ideologią zagłady. Jeśli tak, to prosić o przebaczenie powinien sprawca czynów

niegodnych żołnierza. Rzadziej takie przypadki miały miejsce na froncie niemiecko-francuskim, stąd i łatwość zamknięcia tam porachunków wojennych, znacznie gorzej bywało na polach bitewnych w granicach II Rzeczypospolitej, tragicznie w Powstaniu Warszawskim. Przebaczenie wydaje się jednak możliwym wszędzie, na pewno nie na komendę, szybciej lub wolniej, co raz bardziej pod presją aktualnej sytuacji międzynarodowej.

A pojednanie? Łatwiej w tym przypadku o gesty, chwilowe uniesienie bez pozostawienia trwałych śladów. Skłaniają ku temu właśnie rocznice, wspólne nabożeństwa, presja młodszych, rzadziej i polityków. Pomocne mogą się okazać korzystne a wyrachowane interesy. W wymiarze zbiorowym wskaźmy na rację stanu wynikającą z naszego położenia geopolitycznego, chęci marszu do NATO, ułatwienia realizacji marzeń naszych dzieci i wnuków. Najcenniejsze byłoby jednak przekonanie wewnętrzne, potrzeba przez siebie samego uprzytomiana, „dorośnięcie” do pojednania. Takiej decyzji nikt nie ma prawa wymuszać na kombatanach. Pomagać można w osiągnięciu pierwszego etapu na tej trudnej drodze, czyli wzajemnego zrozumienia. Towarzyszyć temu winna dbałość o prawdę historyczną.

Dyskutanci zgodnie też przyjęli, że to nie ma nic wspólnego z zaślęuczynieniem finansowym, ze skądinąd zasadną koniecznością udzielenia wsparcia pięniężnego ofiarom zbrodni wojennych, członkom ich rodzin. Dlatego źle się stało, że Fundacja Polsko-Niemiecka przyjęła nazwę „Pojednanie”. a zajmuje się dotychczas wyłącznie przekazywaniem skromnym kwot poszkodowanym przez III Rzeszę. Poddano też w wątpliwość tezę, że pojednanie kombatanckie winno dokonywać się z myślą o młodych. Padaly opinie, że synowie żołnierzy okresu II wojny światowej sami lepiej przetrzą szlaki „do Europy”, a oglądanie się do tyłu, ku historii może im tylko przeszkadzać.

Z tego bardzo potrzebnego spotkania wyszedłem bez recepty na pojednanie polsko-niemieckie w środowiskach kombatanckich, ale po pierwsze raz jeszcze mile zaskoczony spokojnymi, przemyślanymi wypowiedziami zabierających głos w dyskusji, a po wtóre bogatszy o garść refleksji, wspomnień. Kapitan Wehrmachtu z bogatą przeszłością wojenną przyjechał po dziesięcioleciach do Warszawy. Harcerz i powstaniec w jednej osobie zawiódł go na Powązki. Tam Niemiec rozplakał się nad grobami chłopaków z batalionu „Zośki”. Razem dawni wrogowie zmówili paciecz za poległych, lzy potoczyły się i z oczu Polaka.

Czy ktoś zaprosi nas na dyskusję o przebaczeniu i pojednaniu z udziałem 150 polskich organizacji kombatanatów oraz osób represjonowanych?

(Tekst ten w nieco zmienionej postaci opublikowała mi redakcja „Rzeczypospolitej”.)

My tutaj, oni tam

Odsłona 1 - „Katyński detektyw”

O tym paszkwiliu napisano już w Polsce wiele. Nieduża, ale wyjątkowo podła książeczka autorstwa Jurija I. Muchina wydana w Moskwie. Na okładce zdjęcie z egzekucji przeprowadzonej przez żołnierzy Wehrmachtu 18 grudnia 1939 r. w lasku Usbornia koło Bochni. Trzej niemieccy żołnierze trzymają karabiny gotowe do strzału, wycelowane w kierunku ofiar. W połączeniu z tytułem ma to być pierwszy sygnał dla czytelnika: Niemcy są winni tragedii katyńskiej!

Muchin zdaniem płk. dr. Marka Tarczyńskiego zastosował frazeologię propagandową z najczarniejszego okresu stalinizmu i wydanie wyroku poprzedził stekiem oszczerstw skierowanych pod adresem polskich oficerów, armii II Rzeczypospolitej, w ogóle naszego kraju i narodu.

Na 175 stronach znajduje się 113 ponumerowanych podrozdziałów części zasadniczej zaczynającej się od „motywów zabójstwa”, ale wcześniej czytelnik zapoznaje się z krótkim wizerunkiem państwa polskiego lat 1918-1939, jego armii, kroniką zdarzeń katyńskich, wersją Goebbelsa i pełną wersją Stalina. Dowiadujemy się zatem z tekstu Muchina, że Polacy otrzymali w 1918 r. prezent w postaci własnego państwa i był to błąd Ententy, bo Rzeczypospolita zaczęła odgrywać w Europie rolę „chuligana”. Najpierw zagarnęła Ukrainę i Białoruś, a we wrześniu 1939 r. wywołała II wojnę światową nie chcąc oddać Niemcom Gdańska „z czystą niemiecką ludnością” i korytarza do Prus Wschodnich oraz odrzucając propozycję sojuszu z ZSRR. Stało się to głównie za sprawą „tępych i podłych polskich polityków”. A armia polska to była „banda” głupich bawidamków, których specjalnością stało się całowanie rąbek panienkom. Dowodem słabości państwa i wojska okazał się 1939 rok, kiedy to Niemcom wystarczyło 17 dni na zajęcie całej Polski.

Spirala epitetów

Skandalicznymi cytatami z tej książki można wypełnić duży artykuł. Zdaniem Muchina naród polski był chory, miał defekty w świadomości państwowej i społecznej.

Szokuje wyznanie autora, że właściwie to jest mu obojętne, kto rozstrzelał w Katyniu „tych agresywnych idiotów”, bo „dobrze im tak - nosicielom takich zwariowanych idei...”. W tym czasie ponoć całe formacje polskie walczyły w składzie Wehrmachtu, w końcu 1942 r. gen. W. Anders okazał się podłym tchórzem, w kwietniu 1943 r. Armia Krajowa nie ruszyła palcem, by pomóc powstańcom w getcie warszawskim, a jeśli stosunkowo lepiej spisała się tzw. armia Berlinga, to tylko dlatego, że włączono do niej 20 tys. oficerów rosyjskich z nazwiskami na „ski”. I tak dalej w ryszczokowym stylu.

Wyznanie Muchina o obojętności przy wskazaniu sprawców zbrodni popełnionych wiosną 1940 roku na oficerach polskich jest jednak pozorowane. Autor paszkwił bez wahania opowiada się za wersją stalinowską, a do zwolenników wersji goebbelsowskiej zalicza wszystkich, którzy ośmielili się wskazać na winę Rosjan. Jeszcze srożej potraktował tenże domagających się wyświecenia pełnej prawdy. „Cała sprawa katyńska - pisze Muchin - została dziś podniesiona właśnie po to, by wychować Polaków takimi, jakimi byli w 1939 roku. Aby zamiast mężów stanu mieli tępych gadułów, zamiast generałów i oficerów - tchórzliwych zamiataczy parkietów, aby naród polski znowu karmił tę zmoreć, która niczego mu nie daje i przed nikim nie broni. Aby Polska znowu stała się żarłoczną europejską prostytutką, nie zarabiającą na chleb pracą, a właśnie prostytutką z głupią nadzieją, że jeśli komuś nadstawi się, to coś za to otrzyma”.

Odsłona II - Reakcja w Polsce

Zgodnie z oburzeniem przyjęto w Polsce fakt ukazania się książki Muchina i jej zawartość. Zwracano uwagę, że w Rosji bardzo mało pisano dotychczas o zagładzie polskich oficerów w 1940 r., zaś omawiany paszkwił sprzedawany był w kiosku w Dumie Państwowej na drugi dzień po inauguracji obrad nowowybranego parlamentu. Oznacza to, że pewnie większość deputowanych rosyjskich po raz pierwszy dowiódł się o Katyniu właśnie z publikacji Muchina. Dodajmy jeszcze, iż nakład

„brukowca” jest dziesięć razy większy od nakładu książki prof. Natalii Lebediew, jedyne opracowania naukowego na ten temat.

Historycy polscy przystąpili do pośpiesznego obnażania najbardziej skandalicznych opinii Muchina i prostowania podanych przezeń faktów. Z jeszcze większą energią protesty złożyły różnorodne środowiska kombatanckie domagające się energicznego kontrdziałania ze strony władz polskich, zwłaszcza Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Natomiast politycy zastanawiali się kto „stoi” za Muchinem, czy jest to „fragment o wiele szerszego procesu narastania nastrojów wielkoruśskich” (Bronisław Komorowski) i na ile ten incydent wiąże się z kampanią prezydencką w Rosji.

Co ze śledztwem i cmentarzami

Wszystkich intrygują postępu śledztwa katyńskiego i uporządkowania miejsc pogrzebania polskich oficerów, policjantów, więźniów. Władysław Bragin, przewodniczący rosyjskiego Komitetu Upamiętnienia Ofiar Katynia i Miednoje sugeruje, że prokuratura moskiewska będzie czekać na wykrystalizowanie się tendencji politycznych w Dumie, a wielu innych polityków sądzi, że oczekiwane w Polsce decyzje nie zapadną przed dokonaniem wyboru prezydenta Rosji. Wcześniej sygnałem niepokojącym było odwołanie z funkcji dyrektora archiwów państwowych prof. Rudolfa Pichoja, bo on to właśnie przywiózł do Warszawy w 1992 r. dokument Biura Politycznego WKP)b z 5 marca 1940 r. zawierający decyzję o rozstrzelaniu naszych oficerów. Prokurator Stefan Śnieżko w wypowiedzi dla „Gazety Wyborczej” stwierdził, że do zakończenia śledztwa brakuje już niewiele, głównie tzw. listy białoruskiej, 22 tys. teczek osobowych (czy się zachowały?), no i ... dobrej woli strony rosyjskiej. W posiadaniu polskim jest ponad 200 tomów akt, „materiał ten pozwala na ocenę i podjęcie własnej decyzji. Ale byłoby to nieszczęście gdybyśmy musieli kończyć śledztwo osobno - oni tam, my tutaj”. Bez wspomnianej dobrej woli nie dokończona zostanie budowa cmentarzy w Katyniu i Miednoje. Czekamy też na przyzwolenie rządu Ukrainy, by zorganizować uroczystości w Charkowie.

Odsłona III - Jak postowie z postami

Parlamentarny Zespół Tradycji Niepodległościowych polskiego Sejmu i Senatu wystosował list do Giennadija Sielezniowa, przewodniczącego Dumy Państwowej Federacji Rosyjskiej. Jest to apel o przeciwstawienie się „pełnej kłamstwa i nienawiści do Polski i Polaków treści książki o Katyniu autorstwa Jurija Muchina”. List wysłany z Warszawy zawiera i następujące zdania: „Oba nasze narody, ciężko doświadczone przez totalitaryzmy XX w. czują potrzebę pojednania, współpracy, odbudowy zaufania”. „Warunkiem niezbędnym do zaspokojenia tej potrzeby jest mówienie prawdy, choćby bolesnej”.

Odpowiedź z Moskwy nadesłał zastępca przewodniczącego Dumy. Próbuje on uspokoić niepokój polski dowodząc, że książka Muchina odzwierciedla jedynie poglądy autora. Zarazem jednak w tym liście znalazło się stwierdzenie bardzo dwuznaczne: „Chciałbym przestrzec zarówno rosyjskich, jak i polskich parlamentarzystów przed wyciąganiem jednoznacznych wniosków co do wydarzeń historycznych tego okresu”. Nie można ustalić prawdy o Katyniu? Po takiej konkluzji zdawkowo brzmi powołanie się zastępcy przewodniczącego Dumy na wspólnotę kulturalną, „symbolem której stała się przyjaźń A. Puszkina i A. Mickiewicza” oraz na braterstwo broni z czasów wyzwania się od faszyzmu. Natomiast cieszy ostatni akapit, jeśli nie jest to tylko zabieg grzecznościowy: „Korzystając z okazji chciałbym potwierdzić głęboki szacunek, jaki żywią postowie Państwowej Dumy Rosyjskiej Federacji, cały naród rosyjski do przyjacielskiego narodu polskiego i całego jęgo Państwa”.

Odsłona IV i chyba nie ostatnia

W prasie rosyjskiej ukazały się wielce pozytywne recenzje książki J. Muchina. Moskiewska „Prawda” uznała, że tezy autora paszkwilo to argumenty warte wielotomowej rozprawy. Z dużym zdziwieniem przeczytać można w owej recenzji, jakie to dowody mają świadczyć o winie niemieckiej. Polskich obywateli nie mogło pozbawić życia NKWD, bo „w ZSRR rozstrzeliwano wrogów tylko na podstawie wyroku sądowego, a grzebano straconych tylko na cmentarzu” (!!!), a ponadto „władza rosyjska prowadziła wobec wrogów jawne rozprawy sądowe, zaś o straceniach informowała otwarcie”. W. Wiszniakow nie ma wątpliwości, że

dokumenty rosyjskie ujawnione w początkach lat dziewięćdziesiątych, w tym i Biura Politycznego z 5 marca 1940 r. są po prostu falsyfikatami. Polska z mentalnością „drobnego chuligana” i zachowaniem „żarłocznej prostytutki Europy” ponosi odpowiedzialność za wybuch II wojny światowej. Głupota to, czy cynizm? Ile jeszcze musi upłynąć lat, by nie ukazywały się tak skandaliczne teksty?

I jeszcze jeden istotny szczegół, w skład kolegium redakcyjnego „Prawdy” wchodzi Giennadij Sieleznianow, czyli wspomniany już przewodniczący Dumy Państwowej.

Niestety nie jest to jedyny przykład tego rodzaju pisarstwa. W „Niezawisimej Gazietie” Maksim Szewczenko porównał do zbrodni katyńskiej politykę „przymusowej polonizacji” Białorusinów i zapytuje, dlaczego jednocześnie z pomnikiem w Katyniu nie zostanie wzniesiony pomnik ku czci Białorusinów pomordowanych przez polskich partyzantów. Publicysta rosyjski wyliczenie krzywd doznanych przez Białorusinów od Polaków zaczął od ... powstania styczniowego, w trakcie którego ponoć „leśni” mordowali ludność prawosławną. M. Szewczenko II Rzeczypospolitą uznał za pierwsze państwo narodowosocjalistyczne w Europie, czego dowodem było podniesienie prześladowań religijnych do rangi polityki państwowej.

Dość cytowania tych oszczerstw. Jak powinniśmy się zachowywać wobec takich dowodów „przyjaźni”?

Epilog

Do tekstów sprzed dwóch lat dopisuję aktualny komentarz.

Miałem możliwość uczestniczenia w uroczystościach w Katyniu, Miednoje koło Tweru i na przedmieściach Charkowa. Rozmawiałem na te tematy z politykami, naukowcami, kombatanami białoruskimi, rosyjskimi, ukraińskimi. Na ogół dziwią się, że Polacy tak uporczywie wracają do losu oficerów wymordowanych przez NKWD. Przecież to tylko dwadzieścia tysięcy, a oni w wyniku terroru stalinowskiego stracili dziesiątki milionów współobywateli. Niektórzy politycy widzą w tym element rewanżu, łączą zabiegi o ujawnienie pełnej prawdy ze staraniami wejścia naszego państwa do NATO i zjednoczonej Europy. Pytano, czy chcemy upokorzyć Rosję i Rosjan. Zadowoleni są młodszy historycy, bo i oni pragną swobodnego dostępu do archiwów. Mamy nadto wielu sojuszników w środowiskach osób represjonowanych zamieszkujących na

Wschodzie. Oni też chcą stawiać pomniki, dostać świadczenia materialne, jeździć na miejsca straceń swych bliskich.

W Katyniu widziałem łzy mieszkańców i kamienne twarze stróżów porządku, a w kilka godzin po uroczystości zebrano z grobów wieńce i kwiaty. W Miednoje byliśmy radzi z postępu prac na cmentarzu, ale w Twerze stoi pomnik Kalinina z ręką wskazującą na b. siedzibę NKWD. Tam właśnie mordowano polskich policjantów, a podpis Kalinina jest na rozkazie śmierci z 5 marca 1940 r. W Charkowie dziękowano delegacji polskiej, że dzięki naszym wysiłkom i oni dowiedzieli się więcej o zbrodniach popełnionych na Ukraińcach.

Smutne, że i w Rodzinach Katyńskich nie ma zgody odnośnie urządzenia cmentarzy polskich ofiar NKWD. Nasila się głos zwolenników przywiezienia szczątków naszych oficerów z trzech cmentarzysk i pochowania ich w ziemi rodzinnej. Ks. Zdzisław Peszkowski powraca do wizji kościołów-kaplic cmentarnych. Chyba skreślono ten temat w Ministerstwie Obrony Narodowej, odsunęli się ministrowie prezydency, sprzeczne wieści docierają z Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Jedno nie ulega wątpliwości: chcemy poznać pełną prawdę. Powinno na niej zależeć także władzom Rosji, Ukrainy, Białorusi.

W dyskusji nad Konstytucją

Panie Marszałku. Wysokie Zgromadzenie

Zbliża się do końca tygodniowa niemal debata nad projektem konstytucji. Powiedziano bardzo wiele na tej sali i co jeszcze bardziej cieszy dyskusja objęła liczne środowiska rodaków także poza granicami Rzeczypospolitej. Z napływających korespondencji wynika, że jesteśmy bacznie obserwowani przez społeczności państw postkomunistycznych borykających się z podobnymi problemami ustrojowymi, a krytycznie oceniani w Europie zachodniej i za Oceanem. Zdajemy ten egzamin historyczny przy otwartej kurtynie.

Śmiem twierdzić, że już teraz można uznać, że żadna inna konstytucja polska w przeszłości nie była tak szeroko konsultowana, prezentowana w tak różnorodny sposób, porównywana z ustawami zasadniczymi innych państw, ustawiana w kontekście historycznym. Inna sprawa. że im więcej głosów, zwłaszcza tych zapalczywych, tym częściej trafiają się lapsusy. Wskazywali już inni koledzy senatorowie i posłowie na tendencję idealizowania rzeczywistości wielkiej Konstytucji 3 Maja i bardziej konstruktorskiej Konstytucji Kwietniowej 1935 roku. Niektórzy z zabierających głos znają obie bardziej – jak można sądzić – z opowieści i rocznicowych opinii niż z lektury tekstów. A nadto mało kto pamięta, że obie zostały przyjęte z zastosowaniem – powiedzmy to ogólnie – trików parlamentarnych. Niech tam, ważniejsze jak potem służyły narodowi i państwu. Zadbajmy jednak, żeby konstytucja III Rzeczypospolitej była poza wszelkimi podejrzeniami o manipulację. Skupmy się nie na sposobach przechytrzenia oponentów, a na precyzyjności zapisów, przy jednoczesnej ich spolegliwości. Czy te dwie cechy się wykluczają? Mogą, ale nie muszą!

Swoje poparcie albo negację wobec poszczególnych zapisów projektu i zgłaszanych nowych propozycji wyrazimy ostatecznie poprzez głosowanie, nie chcę powtarzać argumentów, które padały na tej sali od poniedziałku. Odniosę się tylko do fragmentu wypowiedzi pani poseł Marii Dmochowskiej. Obrońcom Ojczyzny zawdzięczamy przecież tak wiele. Cieszymy się, że nadal w Polsce żyje około 900 tysięcy byłych żołnierzy, partyzantów, ofiar represji obu okupantów i rodzimych zbrodniarzy, wdów lub wdowców po nich i wszyscy oni korzystają ze doświadczeń materialnych zagwarantowanych w ustawie z 24 stycznia 1991 roku. Prawdę mówiąc nie znamy dokładnej liczebności poszczególnych społeczności, nie wszyscy chcą korzystać z dobrodziejstw wspomnianej ustawy, trwa zresztą jej nowelizacja, zmieniają się kryteria. Można być kombatantem we własnej ocenie, można też używać tego szaczonego określenia z racji należenia do któregoś ze związków kombatanckich, można wreszcie uzyskać urzędowy status kombatanta Rzeczypospolitej. Taką możliwość stworzyliśmy również rodakom mieszkającym poza granicami swej Ojczyzny, z ograniczeniem jednak do byłych obywateli II Rzeczypospolitej. Obserwujemy naciski, by ustawami ogarnąć kolejne społeczności walczących i represjonowanych. Tak się stało z górnikami-żołnierzami i osobami deportowanymi do

prac przymusowych na teren III Rzeszy oraz b. ZSRR. Trwają dyskusje nad ustawami o innych jeszcze ofiarach represji, w tym „dzieci wojny”, ofiar grudnia 1970 roku. Tak powinno być, chociaż trudno niekiedy o concensus, łatwo o przesadę, a honor ustępuje świadczeniom materialnym.

Nie usuniemy tak szybko popełnionych przed laty błędów w weryfikacji, borykać się będziemy z wieloma problemami szczegółowymi, a niektóre z nich są chętnie wykorzystywane przez polityków dla bieżącej gry o wpływy. Wiemy o tym, nie kryjemy wynaturzeń, ale i nie nadawajmy im przesadnie wielkiego znaczenia.

Wracam do zapisu zaproponowanego przez poseł Marię Dmochowską w art. 18: „Rzeczpospolita Polska specjalną opieką otacza weteranów walk o niepodległość, zwłaszcza inwalidów wojennych”. Podobny w treści, choć inaczej odczytywany artykuł był i w poprzedniej konstytucji. Usunięcie w ogóle tej kwestii będzie odczytane przez polskich kombatantów jako sygnał o wycofywaniu się państwa polskiego z wielorakiej pomocy świadczonej byłym żołnierzom, partyzantom, ofiarom walk o niepodległość. A tak przecież nie jest i z pewnością nie będzie w latach następnych. Przeciwnie. chcemy jeszcze w tym roku wprowadzić do grona najwyższej honorowanych weteranów Powstania Wielkopolskiego, trzech Powstań Śląskich i wojen 1918-1921 roku, obrońców kraju w 1939 roku, a w latach następnych i uczestników kolejnych faz walk o niepodległość Polski. Trwają obchody rocznic, dużą aktywność wykazują związki i stowarzyszenia kombatanckie, z gorszym niestety wciąż skutkiem tradycje bohaterskich postaw przejmowane są przez młodsze pokolenia. Jest nadal wiele problemów w tej mierze, powracamy do nich dość często na forum obu Izb naszego Parlamentu. Nie mówmy dziś o szczegółach, zapis o szczególnej opiece państwa nad weteranami walk o niepodległość uważam za konieczny w naszej konstytucji. Proponuję jednak inną jego wersję: „Rzeczpospolita Polska specjalną opieką otacza obrońców Ojczyzny i osoby poddane represjom za walkę o Jej niepodległość”. Nie sprzeciwiam się dodaniu słów: „zwłaszcza inwalidów wojennych”, choć jest w Polsce i drugi taki szczególny związek - ociemniałych żołnierzy.

Zapis tej lub podobnej treści jest istotny nie tylko dla oczekujących takiej opieki, on jest potrzebny nam wszystkim pomnym historii narodowej i sprawiedliwie oddającym cześć bohaterom walk o Niepodległą, cierpiącym dla Niej.

*(Tekst ten złożyłem do protokołu. Ostatecznie w Konstytucji RP
ostał się artykuł 19 w wersji zaproponowanej przez posłankę
M. Dmochowską.)*

Drodzy kombatanci

Piszę te słowa na kilka dni przed zapowiedzianą przez Premiera dymisją rządu. Czekając na odwołanie ze stanowiska prowadząc do tego momentu sprawy wcześniej rozpoczęte i wszystkie inne wynikające z kalendarza imprez, rocznic, spotkań. Mam nadzieję, że w stosownej chwili przekazę kierowanie Urzędem następcy, informując go także o oczekiwaniach środowisk kombatantów oraz osób represjonowanych. Pamiętam, jak bezkonfliktowo odbyła się poprzednia zmiana i tego pragnę także teraz.

Od końca marca 1994 r. miałem zaszczyt i przyjemność służyć Państwu jako sekretarz stanu, kierownik urzędu centralnego. Dziękuję bardzo serdecznie za wspólnie spędzone chwile. Przyznaję, że różnie bywało. Mam na swym koncie ewidentne błędy i niedopatrzienia, za które przepraszam. Mogę chyba mówić i o wielu pomyślnie zrealizowanych fazach porządkowania spraw kombatanckich. To co dobre dokonało się głównie z Państwa inspiracji, poprzez ścisłe konsultacje. Najmilej będę wspominał właśnie chwile koleżeńskich niemal spotkań, rozmów, dyskusji. Nie mam prawa poczytywać się za współtowarzysza Pań i Panów czynów z okresu wojny, okupacji, lat zniewolenia Ojczyzny. Darujcie, że czuję się jednak jak młodszy kolega z ostatnich lat Waszej służby kombatanckiej. Chciałem być pomocnym wszystkim, którzy przyjmowali wyciągniętą dłoń, a nie dowódcą zza biurka, instruktorem politycznym, mentorem, ważnym urzędnikiem.

Nie będę nadużywał okazji do wspomnień i dawał upust sentymentom. Wierzę, że z wieloma Paniami i Panami jeszcze się spotkamy, bo pozostaną wiernym tematyce historyczno-wojskowej i na miarę pomniejszych możliwości pragnę uczestniczyć w życiu kombatanckim, jeśli mnie będziecie do siebie zapraszać. Żałuję, że nie dane jest mi skończyć zaczęte wielkie przedsięwzięcia, w tym spotkanie okrągłego stołu. Proszę o zapoznanie się z treścią sprawozdania, które zamieszczamy w tym numerze „Kombatanta”.

Panie i Panowie z „krajowej” Rady Kombatantów oraz Osób Represjonowanych, z Rad Wojewódzkich, Prezesi, Pełnomocnicy, członkowie różniczkowych komisji, zespołów, komitetów. Wszyscy, którzy stanowicie niepowtarzalną w skali światowej, wspaniałą „armię” byłych żołnierzy i partyzantów, walczących i cierpiących za wolną Polskę. Obywatele RP, rodacy rzucony przez historię na Zachód i pozostawieni poza wschodnią granicą, znani mi osobiście i nieznanym, akceptujący moją

osobę oraz moje działania urzędowe i trwający w nieufności lub opozycji.

Odmeldowuję się, bo taka nastąpiła konieczność. Pozostańcie w szeregach kombatanckich zdrowi i oby bardziej szczęśliwi, zgodni, zadowoleni z obrotu spraw narodowych i państwowych. Powtórzę raz jeszcze z całym przekonaniem: jesteście zbiorową godnością Rzeczypospolitej Polskiej, czuję się i ja się Waszym dłużnikiem, chcę Wam nadal służyć. Dziękuję raz jeszcze za wspólnie spędzone lata i miesiące. Niech ma Was w opiece i nasz Pan.

Z głębokim pokłonem
(i jednak łezką w oku)

Słowa wdzięczności wraz z gorącymi życzeniami składam i wszystkim innym wspierającym mój trud, w tym także oczywiście pracownikom Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

(Adam Czesław Dobroński)

Warszawa 12. 10. 1997 r.

* * *

I jeszcze jeden cytat z numeru 10/97 „Kombatanta”: „Niech sami kombatanci ocenią, na ile Urząd wywiązywał się ze swych zadań. Myślę, że w nowej kadencji dokonane zostaną niezbędne korekty, a utrzyma się zasada służby, podmiotowego traktowania związków i stowarzyszeń, serdecznych kontaktów ze wszystkimi, którzy chcą służyć całemu ruchowi kombatanckiemu”.

A.D.

DO WIDZENIA I DO ZOBACZENIA

JEZDZĄC PO ŚWIECIE

Z obowiązków rządowych i sejmowych wynikały liczne wyjazdy, zwłaszcza do państw powstałych po rozpadzie ZSRR. Tak dotarłem do Irkucka na spotkania z Polonią, do Kazachstanu z pomocą humanitarną, wielokrotnie do Moskwy, na cmentarze polskie w Katyniu, Charkowie, Miednoje (Twerze), na Białoruś i Ukrainę, Łotwę. Z bardziej egzotycznych wypraw wspominać będą szlaki argentyńskie, brazylijskie, amerykańskie, izraelskie, wielokrotnie włoskie, a z ostatnich w mym urzędowym kalendarzu wypady do Francji i Szwajcarii. Wszędzie spotykałem Polaków, a często i byłych mieszkańców ziem północno-wschodnich. Przykładem niech będą te teksty drukowane poprzednio w „Kurierze Podlaskim”.

Polska - reszta świata

W Sejmie 9 maja odbyła się debata na temat polskiej polityki zagranicznej. Nie mogłem zaprezentować wówczas swoich uwag, czynię to więc teraz.

„Wiele mówiono o pożytkach wynikających z dyskusji narodowych o polityce zagranicznej Rzeczypospolitej, w tym i z debat toczonych na forum Parlamentu. Im więcej przemyśleń, zwłaszcza tych krytycznych, byle wynikających z woli wzmacniania autorytetu państwa w rodzinie wolnych krajów świata, tym lepiej. Rodzi się jednak wówczas pytanie: czy potrafimy spożytkować to bogactwo rad i programów, czy są one z należytą konsekwencją wprowadzane w życie. Jest więc i problem koordynacji oraz konsekwencji w działaniach różnych podmiotów. Jednymi z nich są właśnie Sejm i Senat RP, a wśród partnerów wciąż niestety nie w pełni docenianych, znajdują się rodacy rozrzućeni po świecie.

Pan minister Rosati w swym wystąpieniu nie zapomniał o Polonii i Polakach zamieszkałych poza granicami RP, więcej jednak miejsca poświęcił opiece nad nimi, niż współpracy z jakże zasłużonymi środowiskami, nie tylko ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wcześniej, bo w dniach 4 i 5 marca br byliśmy uczestnikami debaty w Senacie. Może warto przypomnieć o tamtej dyskusji z udziałem zna-

komitych rodaków, a przynajmniej o uchwale - posłaniu. Jak Pan Minister widzi realizację zawartych w niej postulatów? Kiedy polski Parlament przyjmie uchwałę o Dniu Polonii? Co wszyscy możemy zrobić, by wyciszyć swary wśród rodaków, dopomóc w zgodniejszym prezentowaniu polskiej racji stanu?

Następny problem mi bardzo bliski, to uwarunkowania historyczne naszych kontaktów międzynarodowych. Przez dziesięciolecia powojenne głośno oficjalnie hasła przyjaźni w ramach tzw. obozu demokracji ludowej. Gdy runął mur berliński i rozpadł się Związek Radziecki powróciły wzajemne żale, oskarżenia, spory. Okazało się wnet, że łatwiej je zneutralizować w stosunkach polsko-niemieckich, ale też za cenę częściowych przemilczeń, czego przykładem choćby sprawa odszkodowań za pracę niewolniczą obywateli II Rzeczypospolitej i satysfakcji dla wysiedlonych. Znacznie gorzej postępuje proces zamykania historycznych rozrachunków na kierunku wschodnim. Jest w zasadzie taka umowa z Litwą, bardzo trudną historią wzajemnego sąsiedztwa zajęli się historycy, coraz mniej te spory rzutują na obecne wzbogacanie kontaktów. Oczekujemy na taką regulację w stosunkach z Ukrainą, czas najwyższy poważniej potraktować dialog historyczny polsko-rosyjski, nie można też nie dostrzegać zadrażnień provenencji historycznej między Warszawą a Mińskiem. Nie będę dalej wyliczał przykładów, należy dopomóc historykom w napisaniu wspólnych syntez, a podstawowe ustalenia niechaj jak najszybciej trafią i na karty podręczników szkolnych. Widzę w tym dziele aktywniejszą niż dotychczas rolę Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Zrobiono zaiste wiele, by III Rzeczypospolita miała aktywną, spójną politykę zagraniczną, tym bardziej więc warto popracować nad usunięciem słabszych ogniw, wprowadzeniem niezbędnych korekt”.

Dyskusja w Sejmie wzbudziła jednak i sporo wątpliwości. Najczęściej chyba wyrażano obawy o należytą korelację. Swoistą ilustracją tego problemu stał się incydent z Aleksandrem Kwaśniewskim. Pan Prezydent przybył do Sejmu, gdy już rozpoczął przemawiać minister Rosati. Nie zajął więc miejsca w fotelu prezydenckim, powrócił do pałacu, by oglądać transmisję telewizyjną. Kto zawinił?

(1997 r.)

Cmentarz Bajkowy

Kijowski świadek

Teren ten z dozą przesady określanym mianem góry otrzymał w 1812 r. generał Bajkow za zasługi w bojach przeciw wojskom napoleońskim. Stopniowo zabudowa miasta Kijowa postępowała w tym kierunku, więc w latach trzydziestych ubiegłego stulecia pogrzebano na stokach Góry Bajkowa pierwszych zmarłych. Wedle przyjętego porządku wyznaczono oddzielne części dla głównych wyznań, przy czym w latach osiemdziesiątych dodano po drugiej stronie ulicy nowy cmentarz dla prawosławnych z cerkwią Wozniesieńską. Kijów po uzyskaniu połączeń kolejowych wybił się wyraźnie na centrum Małorusi (Małej Rusi), zyskał nie tylko na liczbie ludności i potencjale przemysłowym, ale również szczylił się już rozwiniętym szkolnictwem, bujnym życiem kulturalnym, piękną architekturą. Była to zasługa także tutejszych Polaków, zwłaszcza tych z rodowodem ziemiańskim, wykształconych, piastujących ważne stanowiska. Po trudzie na padole leż znajdowali i oni wieczny spoczynek na Cmentarzu Bajkowym, bo tak popularnie zwać zaczęto ładnie położoną nekropolię.

Dziś jest to obiekt historyczny, w zasadzie zamknięty. Kijów ma wielkie cmentarze daleko od centrum miasta, zdarzają się jednak jeszcze pochówki i na Bajkowie. Przy centralnej alei pojawiły się płyty z nazwiskami osób znanych z pierwszych stron gazet, nie tylko zasłużonych dla kultury i nauki. Miejsca nie przybyło, grobów tak, a jeśli jeszcze dodać metalowe ogrodzenia, ławeczki, wszechobecną zieleń, także rzucające się w oczy przyzmy śmieci, to powraca pytanie kosztem czego to wszystko. Ano kosztem starych grobów, zwłaszcza tych pozostawionych bez opieki, więc i w dużej części polskich.

Polskość wyraźnie ustępowała na kijowskim starym cmentarzu innym nacjom i racjom, zwłaszcza pod rządami sekretarzy spod znaku sierpa i młota. Po II wojnie działo się tak w niezgodzie z oficjalnie głoszonymi hasłami przyjaźni między bratnimi narodami. Z bólem w sercach, w warunkach postępującego zubożenia obserwowali ten proces ci nasi rodacy, których nie wymiotły ze stolicy Ukrainy kolejne wojny, rewolucje i akcje triumfującej ideologii. Oni jako pierwsi przed kilku laty ruszyli na ratunek grobom. W kronikach zapisano między innymi nazwiska: Marii Bondziuk, Czesławy Raubiszko i jej córki Wiktorii Radlik, Wandy Sadowskiej, Natalii Sidziaczenko, Heleny Zawadzkiej, Ale-

ksandra Jefimowa, Konstantina Kossakowskiego, Pawła Zienkiewicza. Dochodzili do pomocy i inni, nie wszyscy z nich chcieli występować pod firmą Kijowskiego Narodowościowo-Kulturalnego Stowarzyszenia Polaków „Zgoda”. Bez wątpienia na miano seniorki w tym gronie zasługuje pani Maria Bondziuk, kobieta niepozorna, a przecieź mocarna przez dzieięćciolecia, dziej juź osłabiona chorobami i z trudem opuszczająca dom.

Siłaczka kijowska

Pani Maria urodziła się w 1912 r. w Żytomierzu w rodzinie Berezowskich. Ojciec Piotr służył przy kościele i razem z awansującym księdzem dobrodrodziejem przeniósł się w pamiętnym 1914 roku do Kijowa. Zamieszkał z rodziną w domku przy Cmentarzu Bajkowym, objął opieką groby dawne, asystował przy nowych pochówkach, poznał wielu żywych parafian i dzieje umarłych. W takiej symbiozie dwóch światów wzrastała córka Marysia. Zapamiętała, że w 1920 roku, kiedy to miejscowi Polacy radowali się jak nigdy chyba przedtem, w kaplicy cmentarnej leżały jeszcze bez trumien zwłoki legionistów. Tak nazywano naszych żołnierzy, którzy 8 maja tego pamiętnego roku zajęli gród nad Dnieprem, a w dzień później przedefilowali jego ulicami. Radość polskich kijowian nie trwała wprawdzie długo, niemniej wspomnienia pozostały na zawsze, zabarwione niestety nutą smutku najpierw z powodu poległych, potem odwrotu naszych dzielnych chłopców wypartych ku zachodowi przez kozaków Semena Budionnego.

Zwycięzcami okazali się wiec ostatecznie bolszewicy. Za ich rządów w 1923 r. zniszczono na kijowskim Bajkowie kaplicę cmentarną, także domek zamieszkały przez Berezowskich. To był dopiero początek pasma nieszczęść. W trzy lata później pana Piotra znaleziono martwego. Padł prawdopodobnie ofiarą złodziei nagrobków, zakończył na posterunku służbę obrońcy mogił polskich. Nocą przychodzili zwyrodnialcy, by kraść płyty kamienne, w dzień zaś młodzi aktywiści mobilizowani za przyzwoleniem władz do walki z Panem Bogiem i zabobonami religijnymi.

W rodzinie Berezowskich żałobie towarzyszyła bieda, wdowa chwycić się musiała różnych robót, by wyżywić dwie córki, bo Marii towarzyszyła młodsza Irena.

Cmentarzyk legionistów

W 1927 r. do matki Marii przyszli dwaj mężczyźni i zaproponowali opiekę nad kwaterą polskich żołnierzy 1920 roku. Byli to z pewnością pracownicy Konsulatu Generalnego RP w Kijowie. Ksenia Berezowska oczywiście podjęła się tej funkcji, chciała kontynuować dzieło męża, a dodatkowe ruble podreperowały budżet rodzinny. Matce pomagały dziewczęta. Praca nie była łatwa, na Ukrainie nasilał się głód, coraz podejrzaniej patrzono na Polaków. Od 1934 r. zabrakło w Kijowie księstwa katolickiego, władze zamknęły kościół.

Z raportów konsularnych wynika, że ta kwatera legionistów była jedynym uporządkowanym polskim cmentarzykiem wojskowym na obszarach Ukraińskiej SSR. Ogródenie wykonano ze słupków cementowych połączonych żelaznymi sztabami pomalowanymi na białą. „Krzyże na grobach zostały również pomalowane na białą i otrzymały tabliczki z nazwiskami i znakami pułkowemi poległych”. Mogiły obłożono darnią, a ścieżki wysypano piaskiem. W środku widniał duży krzyż, jego fundatorem był minister pułkownik Józef Beck. Z niewiadomych nam na razie powodów latem 1939 r. znów powstał problem tabliczek na grobach, zamówiono je wówczas w Polsce uzyskując wcześniej zgodę miejscowych urzędników. Warto jeszcze zacytować jedno zdanie z tajnego raportu konsula Jana Karszo-Siedleńskiego do centrali w Warszawie: „Kościół z punktu widzenia politycznego i propagandowego ma dla nas nie mniejsze znaczenie niż cmentarz i musi być za wszelką cenę utrzymany”. To było jedynie pobożne życzenie polskiego dyplomaty.

W wieczór sylwestrowy 1937 roku enkawudziści aresztowali Irenę Berezowską, nieco tylko później ten sam los spotkał Ksenię. Maria pracowała już wówczas w fabryce, przekraczała normy, to może ją uratowało od więzienia. Dowiedziała się po wielu staraniach, że siostra i matka otrzymały po 10 lat łagrów, na szczęście z prawem do korespondencji. Można było liczyć na cud! Pierwszy list z Kazachstanu nadszedł przed Wielkanocą 1938 roku, był w nim i rysunek baranka. Irena pisała owce na stepie, matka pracowała w kuchni, oddzielały je od siebie dziesiątki kilometrów. Wojna przerwała korespondencję, siostra wróciła z zesłania w 1947 r., nic nie wiedziała o losach rodzicielki. Do dzisiaj nie znane są ostatnie lata życia tej jeszcze jednej ofiary stalinizmu. Gdzie leżą szczątki ofiarnej opieki grobów legionistów? Dopiero w 1954 r. wyszło na jaw, że obie panie Berezowskie zostały ukarane za szpiegostwo, bo otrzymywały przecież pieniądze z polskiego konsulatu.

Na ratunek

Przed kilku laty garstka rodaków podjęła walkę o uratowanie grobów polskich na Cmentarzu Bajkowym. Zaczęto od grobowca rodziny Piotra Żmigrodzkiego, proboszcza kijowskiego zmarłego w 1910 r. Wysoka kolumna wskazywała z daleka miejsce wiecznego spoczynku tego szambelana Domu Jego Świątobliwości, wystawała ponad zielska i śmieci, nie zdołali jej powalić złoczyńcy. Potem przysłała kolej na grobowiec archeologa Józefa Chojnowskiego (1834-1919), co to własne bogate zbiory zapisał „na korzyść miasta Warszawy” i dyrektora szkoły realnej Konstantego Wiśniewskiego (1841-1900). A w listopadzie 1994 r. pani Maria Bondziuk poprowadziła czyniących porządku na cmentarz legionistów. Udało się w płataninie zielska i w morzu śmieci zlokalizować pierwszy słupek z ogrodzenia, potem następne 26. Znalezione nawet jeden oryginalny krzyż, oczyszczono miejsce na którym stał pomnik. 3 maja 1995 r. można się było tu pomodlić w intencji poległych za Ojczyznę. Kameralne uroczystości powtarzają się teraz systematycznie. Zamiast jednak stu kilkunastu grobów (114?) jest tylko placyk o wymiarach 6 metrów na 3 metry. „Prawie nic nie napomina o zbiorowym pochówku żołnierzy - dookoła groby, pomniki, ogrodzenia lat 70-80, tylko niezwyčajny lśniący z daleka krzyż (...) oraz betonowe słupki poszczerbione przez czas byłego ogrodzenia kwatery legionistów zmuszają przechodniów zwolnić krok, przyjrzeć się uważniej, zamyślić się” (C. Raubiszko).

Jest nowość z ostatnich dni. Znalezione wkopaną w ziemię część centralną dawnego pomnika z Krzyżem *Virtuti Militari*. Może z pomocą firmy budowlanej z Polski zostanie wyciągnięta jeszcze przed Zadaszkami, zajmie miejsce pod krzyżem. To i tak będzie nadal rozwiązanie prowizoryczne, trzeba przecież odtworzyć w całości przynajmniej założenie centralne cmentarzyka legionistów, odgrodzić je, opatrzyć informacją. To zadanie pilne, możliwe do przeprowadzenia tylko z pomocą osób i instytucji z Macierzy. Przy tej okazji trzeba wesprzeć dzielnych społeczników kijowskich, uhonorować należycie ich poświęcenie.

Na pomoc czeka na Bajkowie ponad 600 grobów polskich. Z nich oczyszczono dotychczas niespełna sto. Panie i panowie z kijowskiej „Zgody” nie są w stanie dokonać renowacji pomników, przywrócić piękno figurom, dobudować ramiona krzyży, poprawić napisy. Czekać będziemy też wszyscy niecierpliwie na album-monografię, przypomnienie nazwisk wielkich rodaków, rodzin, środowisk.

Komuś przeszkadzał krzyż na grobie Józefa Zawadzkiego (1818-1888), znakomitego księgarza i wydawcy, prezydenta miasta Kijowa. Na pięknym nagrobku Cypriana Kłaszyna, marszałka powiatu lipowieckiego widnieje maksyma, która tu nie brzmi dostatecznie przekonywująco: „...kto prawością w świecie słygnie, o tym pamięć nie zaginie”. Są ofiary I wojny światowej, jak na przykład płk Ludwik Jasiński, sławni w swej epoce przedsiębiorcy (Antoni Wilczkowski miał sklep z odzieżą męską przy ulicy Wielka Wasilkowska), dobroczyńcy i dostojni urzędnicy, jest poseł do carskiej Rady Państwa Stefan Syroczyński. Z trudem odczytać się dają na nagrobkach nazwiska Białostockich, Bocheńskich, Dąbrowskich, Ernstów, Jankowskich, Korwin-Piotrowskich, Kosteckich, Krasnopolskich, Michałowskich, Michowiczów, Młodeckich, Mostowskich, nawet Poniatowskich, Radziwinowiczów, Radlińskich, Reuttów, Rząśnickich, Rymuszów, Skalskich, Wisznowskich.

Syn dał wyraz boleści po śmierci matki: „Cobyś niestracił w żywota kolei / Mienie, przyjaciół, zdrowie i dostatki. Wszystko odzyskać możesz, tylko matki / Drugiej nie znajdziesz i nie mniej nadziei...”. Zza grobu o westchnieniu do Boga prosi właściciel firmy wydawniczej Leon Idzikowski, rodem z Krakowa przyjaciel profesorów i młodzieży akademickiej. Natomiast potomkowie Tadeusza Syroczyńskiego zapewniają, że „sprawiedliwi na wieki żyć będą, a nagroda ich u Najwyższego”. Z trudem można przeciskać się między grobami, unikając dziur wypełnionych śmieciami, pokrzyży, połamanych gałęzi. Przypadek czasem decydował o stanie zachowania grobu, trwaniu pamięci wyrytej w kamieniu, czego dowodem i nagrobek wrosły w pień drzewa ku czci Anieli z Perrów Polowej zmarłej w 1874 roku. To drzewo wyręczyło dobrych ludzi, objęło pieczę nad mogiłą. Czy ktoś zapali na niej świeczką w Dniu Zmarłych?

Kijów leży rzeczywiście daleko

Cmentarna cisza

Na cmentarzu w Charkowie zakończono 13 września 1996 r. ekshumację, wcześniej ustawiono kilka tablic i wiele krzyży. Wiemy że w lesie na przedmieściach, tuż koło ruchliwej szosy jest 75 grobów, w tym 15 polskich, a w nich od 50 do 800 zwłok.

Razem daleko od Ojczyzny spoczywają szczątki ponad 4 300 obywateli polskich i ponad 2 200 innych ofiar. Obok oficerów z obozu w Starobielsku leżą wojskowi, których nie ma na żadnych ze znanych nam już list sporządzonych przez NKWD oraz ponad trzystu cywilów. Pani Ewa Gruner-Żarnoch oraz panowie Janusz Lange i Marcin Buther-Zawadzki z Rodzin Katyńskich pokazali dokumentację zdjęciową, opowiadali o losie także swych ojców. Ich zwłoki przewożono z charkowskiej siedziby NKWD w samochodach z napisami „chleb” i „mleko”. Oprawcy zabijali ofiary z niezwykłą precyzją strzałem w potylicę. Oficerowie polscy mimo rewizji zdołali zatrzymać przy sobie wiele pamiątek osobistych ukrytych między innymi w mydle, cholewach butów, zaszytych w mundurach. Dzięki temu można było wprowadzić wiele poprawek do spisów pomordowanych. Groby polskie oznaczono białoczerwoną wstęgą, zapala się tu znicze, umieszcza tabliczki z nazwiskami.

Z udziałem premiera Polski, przedstawicieli władz centralnych Ukrainy oraz obwodu i miasta Charkowa odbyła się ceremonia składania wieńców, potem nastąpiły modlitwy duchownych katolickich i prawosławnych. Padły słowa pełne pokory, żalu, ale i przestrogi. Powtarzano, by te prochy nas nie dzieliły, a niech łączą w dążeniu do zachowania pokoju. Jest nadzieja, że w niezbyt już odległym czasie w obecności prezydentów obu państwa położony zostanie kamień węgielny pod cmentarz, rozpocznie się realizacja projektu wybranego w drodze konkursu. A wówczas spod ziemi wydobywać się będzie głos dzwonu.

W samolocie powracającym do Warszawy był czas na podyskutowanie o stanie naszej wiedzy, trudnościach w dotarciu do wszystkich materiałów archiwalnych. Czy rzeczywiście istniały wiosną 1940 roku na terenach ZSRR inne jeszcze obozy z polskimi jeńcami, bo mówi się tylko o Kozielsku, Ostaszkwowie i Starobielsku? Czy na mocy rozkazu Stalina z 5 marca 1940 r. śmierć poniosło aż około 32 tysiące rodaków? Gdzie jest tzw. lista białoruska, a pewnie i inne jeszcze mniejsze listy? Gdzie są doły ze szczątkami ofiar na przykład masowych straceń w czerwcu 1941 roku?

Niestety to prawda, że proces wyjaśniania zbrodni dokonanych przez NKWD na Polakach w latach 1939–1941 spowolniał.

(październik 1996 r.)

Dobroruś

III Rzeczypospolita graniczy od wschodu między innymi z Republiką Białoruską. Zgadzam się z opiniami, że to Dobroruś, ziemia serdeczna, przyjazna, spolegliwa. Czy jednak w pełni suwerenna? Może prawdą jest, że Białoruś „odpłynęła” już do brzegu, któremu na imię Rosja.

Mińsk to gród stary odwołujący się do zapisów kronik z XI wieku, podlegający przez wieki różnej władzy, najczęściej obcego pochodzenia. Jeszcze widać w nim resztki staropolszczyzny, ale w otoczeniu budowli carskich usuniętych poza główne ciągi reprezentacyjne z czasów budowy komunizmu. Na próżno pytaliśmy o przewodniki i foldery, publikacje o uroklivej starówce. Ilu trafi tu turystów z Polski? Co innego Plac Lenina długi na 450, a szeroki na 150 metrów z siedmiometrowym pomnikiem Wodza Rewolucji. Lenin stoi nadal na posterunku, ma ulicę swego imienia, choć stracił patronat nad kilkukilometrowym prospektem, teraz już przywołującym postać Franciszka Skaryny (Skoryny). A w pobliżu czuwa zaklęty w brązie Feliks Edmuntowicz Dzierżyński. Co większa ulica, to bohater z czerwoną aureolą. W byłej siedzibie I sekretarza kompartii zasiadł prezydent Republiki, przywraca on stare symbole i język rosyjski.

Wbrew nazwie państwa wyraźnie więcej nadal tu czerwieni. Z dumą mówiono i pisano przez dziesięciolecia o Mińsku jako mieście bohaterским i ateistycznym. Bohaterowie z orderami ZSRR stoją teraz pokornie w kolejkach i z trudem starcza im na chleb.

Wojujący natomiast z Panem Bogiem wolą się określać mianem osób tolerancyjnych i patrzą z kpiącym uśmiechem na spieszących do cerkwi oraz kościołów. W mieście wielkich budów i gigantycznych sukcesów mas pracujących nie ma komu usunąć niedopałków z chodników i posprzątać roznoszonych przez wiatr papierów. A wiatry tu rzeczywiście gigantyczne, hulają po prospektach. Nie ma sekretarzy, pozostał styl „widzicie, my rozumiemy, wy zróbcie” i nie skrywane s y m p a t i e. Im gorzej, tym więcej opowieści o sytych, a raczej zakąskowych latach minionych.

Kiedy zapanuje normalność na linii Mińsk–Warszawa? Słyszałem w stolicy Republiki określenie o dziurze politycznej w Europie między wielką i wciąż groźną Rosją, budzącą się potęgą ukraińską, zadziorną Litwą i oszołomioną, ambitną Polską.

Ta dziura to Białoruś, byt jeszcze rozproszony, mgławicowy. Różne uwidaczniają się tu opeje, dla nas ważne, że jest i propolska, przytulenia się do sąsiada za Bugiem. I tylko szkoda - powtarzam opinie z Mińska - że Polska tak bardzo zapatrzyła się na zachód, a odwróciła od braci w słowiaństwie. A jeszcze większe zdziwienie, że niektórzy politycy białoruscy wskazują na rzekome zagrożenie ze strony Polski i Kościoła Katolickiego. Wierzą pewnie w skuteczność teorii o potrzebie szukania wroga zewnętrznego, gdy w domu dzieje się coraz gorzej.

Gość z Białorusi

Ani się obejrzymy, a na naszej granicy z Białorusią może stanąć mur. Nie ten wielki chiński z nasypami ziemnymi, ścianami z cegieł, wieżami, ale dział kulturowy. Za tym murem obowiązywać będą inne prawa i zwyczaje, także polityczne. W ten sposób Europa de facto skończy się na Bugu, a nie na Uralu. Co gorsze o takim finale zdecyduje wcale nie naród, ale jego nieomylny przywódca.

Siamion Szarecki ma wpisany w swój życiorys związek z Nowogródzczyzną, z pietyzmem mówił na spotkaniu w Sejmie o Adamie Mickiewiczu, z przekonaniem nie tylko o sąsiedzkich, ale w części po prostu o wspólnych dziejach Polski i Białorusi. To fakt ważny dla obu partnerów, godzien kontynuowania. A tymczasem u partnera mają miejsce bardzo dziwne wydarzenia.

Przykładem niechaj będzie referendum ogłoszone wcale nie dla poznania woli obywateli, lecz do wzmocnienia władzy prezydenta Łukaszenki. Może więc lepiej napisać, że tak zwane referendum w sprawie konstytucji. Trwało od 9 do 24 listopada 1996 roku, ale prezydencki projekt konstytucji pojawił się dopiero 12 listopada, a projekt grupy posłów komunistycznych i agrariuszy jeszcze później, bo 19 listopada. Czy można głosować nie wiedząc na co się głosuje? To pytanie pierwsze.

Nadzór nad referendum sprawowała w zasadzie kancelaria prezydencka, ona też tylko dysponowała funduszami na ten cel przeznaczonymi, wykonała druk kart do głosowania, kolportowała je. W kabinach były wyłożone wzory właściwego (po myśli prezydenta) głosowania, a głowa państwa z ręką na sercu przekonywała w telewizji, że tak trzeba. Nikt z opozycji nie miał prawa przedstawienia swych racji, również na łamach ogólnie dostępnej prasy. Stara to, sprawdzona zasada „głosowania pozytywnego”.

Na koniec - takie panuje przekonanie - „poprawiono” rezultaty referendum, by były zgodne ze starą zasadą: głosować mogą jak chcą, ale wyniki muszą być właściwe. Mówi się zwłaszcza o cudzie w ostatnich godzinach niedzieli 24 listopada i po zamknięciu urn. I tak jednak wpłynęło ponad 2 tysiące protestów, te kierowano do prokuratury od poniedziałku poczynając, ale już we wtorek prezydent ogłosił, że nowa konstytucja wchodzi w życie, jak chciał naród.

Prezydent i jego ludzie szli za ciosem, by nie dać czasu na zorientowanie się w ich planach, na wredne komentarze i próby sprzeciwów. Zakwestionowano mandaty posłów, którzy nie poparli Łukaszenki. Posłusznych zaś deputowanych Prezydent zaprosił do składu nowego ciała zwanego Izbą Reprezentantów. Różnie mówi się w Mińsku o sposobie rekrutowania „reprezentantów”, o formach nacisku na nich i ich rodziny.

Z pobudek niewątpliwie „demokratycznych” Izba ta dokonała zmian proceduralnych. Projekty ustaw przedstawia Łukaszenko, dyskusja staje się w zasadzie zbędną, a głosowanie wprowadzono przez podnoszenie rąk. Władza chce wiedzieć, czy się komuś poglądy nie wypaczyły.

70 „opornych” posłów uznaje, że referendum się nie odbyło. Pracują więc nadal, choć nie mogą przyjmować ustaw. bo do tego potrzeba obecności 101 osób. Kiedy osiągną taki stan i czy w ogóle osiągną? Z dziewięciu członków Prezydium Parlamentu po tej stronie jest sześciu, a z piętnastu przewodniczących komisji - dziewięciu. U Łukaszenki przeważają byli funkcjonariusze partyjni, osoby zawsze posłuszne władzy.

Dla zwykłych zjadaczy chleba najgorsza jest narastająca bieda. Szaleje drożyżna, niektórych produktów w ogóle nie ma, dziwna jest polityka celna władz białoruskich. Jak wyżyć? Czy tylko liczyć na pomoc Rosji? Na cud? Ile można jeszcze tak wytrzymać?

Wiele do myślenia dało nam to spotkanie z S. Szareckim.

Ludzie, koniec blisko!

Paryżanin, ale i przybysz nad Sekwaną może bez trudu odczytać, ile jeszcze pozostało nam dni do końca drugiego tysiąclecia. Wystarczy tylko skierować wzrok ku wieży iEiffla i nieco unieść głowę do góry.

Czy historia się powtórzy?

Przed końcem XIX wieku w Europie modnym stał się dekadentyzm, pozabiblijni prorocy ogłaszali koniec świata, więc jedni się radowali ponad miarę, inni wpadali w żalobny nastrój. Ręce zacierali właściciele knajp, wzrosły akcje artystów i poetów, nie mówiąc o wróżbitach. A najlepiej poinformowanym miejscem na świecie zdawał się być właśnie Paryż.

Dziś jeszcze nie słyszy się tu dramatycznych pytań, choć Francja przeżywa wiele trudności, narastają konflikty polityczne, przybywa bezrobotnych. Będzie lepiej, czy jeszcze gorzej? Chciałem zapytać malarzy z Montmartre, okazało się jednak, że w większości to „stacze”, którzy pozując na mistrzów pędzla lub piórka zajmują się wyłącznie sprzedażą dostarczonych im obrazów i rysunków. Najbardziej autentyczni się karykaturzyści, ci jednak zawsze widzą nas w krzywym zwierciadle.

A tak w ogóle, to gdzie pytać? Na lewym, czy na prawym brzegu Sekwany? Mieszkańcy tej pierwszej części Paryża nie mają wątpliwości, że tu bije serce wielkiego miasta. Jeśli powiesz w takim nobliwym towarzystwie, że mieszkasz na przykład w dzielnicy XVIII, to usłyszysz w odpowiedzi: „Nie wiedziałem, że aż tyle dzielnic ma nasze miasto”.

Przybysz znad Wisły może być określony fonetycznie jako „Polak”, co brzmi jak Polaczek, ale i poprawniej, bez odcienia wartościującego jako „Polonais”, lub z uszanowaniem - „seigneur Polonais”. Pan Witold Ocepski, powstaniec warszawski mówi o sobie, że wstawał najraniej z sąsiadów podparyskiej miejscowości, tyrał, inwestował, by móc w końcu usłyszeć, że jest panem - „seniorem”. Najgorzej psują nam opinię rodacy przesiadujący w pobliżu polskiego kościoła. Ci piją, kradną, czynią burdy. Nie liczą dni, nikt nie liczy się z nimi.

W dzielnicy łacińskiej

Tu chyba najłatwiej się przekonać, że życie jest piękne bez względu na wiek, ale raczej z przyzwoitym portfelem w kieszeni. Od katedry

Notre-Dame blisko do fontanny świętego Michała (St.-Michel), uliczek kwartału św. Seweryna (wielkiego żarcia), ale i do gmachów uniwersyteckich, kin, bardziej już odległego Panteonu. Najnowszą atrakcją są wspaniale zachowane rzymskie łaźnie, większość jednak spacerujących wybiera rozmowy, śpiew, wino. Tak jest przez całą noc, a bardziej zmęczeni nad ranem idą na zakup cebulową.

Ja dałem się bez trudu namówić Adamowi Kuźmiczowi na „kuszenie świętego Antoniego”. Przepraszam, nie wiem skąd taka nazwa. Zapamiętałem za to dobrze zawartość dużego półmiska: ryj świński, ucho także „blondynki”, ogon, kawałek „giry”, ale nie golonki, tylko części dolnej, tej od strony racic. Ponoć Jacques Chirac, prezydent Reubliki tym przysmakiem raczył kanclerza Niemiec dodając oczywiście piwo, choć Francuzi i do świńskich nóg wolą wino. W restauracji „Au Pied de Cochon” ulokowanej w dawnej jatce zjada się rocznie 85,5 tysiąca nóg świńskich, płacąc słono za tę uciechę. Może jest to sposób na poprawienie rentowności hodowli trzody w Polsce? Przy tej okazji można się dowiedzieć, że w jednej nodze wieprzowej jest 32 kostek, które należy starannie oczyścić z mięsa, nawet z pomocą palców.

Czy godzi się tyle pisać o jedzeniu? W byłym opactwie (Abbaye des Vaux de Cernay) na karcie dań widniał cytat z pism świętego Wincen-tego a Paulo: „Trzeba dbać o ciało, żeby duszy się w niej podobało”.

* * *

Tyle krótkich refleksji z Paryża. Pojechałem tam z kilku powodów. Najważniejszym było uczestniczenie w uroczystości odsłonięcia pomnika ku czci żołnierzy gen. W. Sikorskiego w Coëtquidan. Miła była wizyta w Ambasadzie RP, gdzie m.in. wręczono medale osobom zasłużonym w promowaniu „Słownika biograficznego Polonii świata”. To głównie zasługa Z. Judyckiego, który i mnie wciągnął do Komitetu Honorowego. Nie obyło się i bez spotkań z kombatantami polskimi oraz złożenia wieńca przed pomnikiem wdzięczności dla walczącej Warszawy. Stąd też dobrze widać wieżę Eiffla. A jeszcze Biblioteka Polska, liczne miejsca związane z naszymi rodakami.

Ekselencje, Drodzy Gospodarze, Rodacy

Ze wzruszeniem stoję przed Wami wszystkimi mając przed oczyma także tablicę upamiętniającą formowanie polskich jednostek wojskowych w Coëtquidan w latach 1917-1918 i 1939-1940.

Dla Polaka są to daty niezwykle ważne, choć o różnej wymowie. Po ponad wiekowej niewoli nadeszły lata wielkiej szansy, oczekiwane przez dziesięciolecia, wymodlone przez cierpiących, wyproszone przez poetów. Chwiała się potęga Habsburgów, nad Rosję nadciągała czarna chmura rewolucji bolszewickiej, coraz większe trudności przeżywały Niemcy. Synowie i wnukowie powstańców styczniowych poszli śladem ojców i dziadów, wykorzystując korzystne układy polityczne. Po raz kolejny można powiedzieć, że tradycyjnie oczy Polaków zwróciły się i na Francję, kraj stale nam przyjazny. Śpiewamy w hymnie narodowym: „Dał nam przykład Bonaparte”, nucimy i nad Wisłą „Marsylianke”, dobrze rozpoznajemy barwy trójkolorowe, a wszystko za sprawą wspólnych walk, sympatii i interesów politycznych, życzliwych kontaktów Francuzów i Polaków. Tak było i w końcowej fazie I wojny światowej. Do narodowej legendy polskiej przeszedł formację Hallerczyków, „błękitnej armii” i jej „błękitnego” generała Józefa Hallera. 4 czerwca 1917 r. premier oraz minister wojny pisali do prezydenta Raymonda Poincarégo: „Francja organizację i rozkwit przyszłej Armii Polskiej winna uważać dla siebie za sprawę swego honoru”. I stało się, z Francji podążyły na wschód pułki hallerczyków, by stanąć do walki o granice odradzającej się Rzeczypospolitej, stawiać czoła nawałom Armii Czerwonej. Z tych właśnie urokliwych ziem Bretanii, na których się dziś znajdujemy. Pozostały wspomnienia, opracowania historyczne, jest już także tablica pamiątkowa, wkrótce pomnik hallerczyków otrzyma Warszawa.

Przyjaźń polsko-francuska przetrwała dwudziestolecie międzywojenne, a jednym z orędowników daleko idącego zbliżenia obu państw był gen. Władysław Sikorski. To jemu właśnie przypadło podtrzymać ciągłość Rzeczypospolitej po przegranej wrześniowej 1939 roku, po zajęciu naszego kraju przez dywizje niemieckie i sowieckie. Znów do Coëtquidan podążyli ochotnicy polscy, rozbitkowie z kraju i emigranci zamieszkali we Francji. W trudzie, bo nie wszyscy sprzyjali te-

mu wysiłkowi i nie wszyscy rozumieli jego znaczenie nie tylko dla sprawy polskiej, formowały się bataliony, pułki i dywizje. 15 czerwca 1940 roku Wojsko Polskie we Francji liczyło 82 tysięcy żołnierzy, w tym około 50 tysięcy to byli rodacy zamieszkali w swej drugiej ojczyźnie. Poszli oni walczyć nie nad Wisłę, ale na pola Lotaryngii. Tam właśnie 1 Dywizja Grenadierów gen. Bronisława Ducha stawiała czoła kolumnom niemieckim, poniosła dotkliwe straty, zaznaczyła swój szlak bojowy żołnierskimi mogiłami. Walczyli i strzelcy piesi gen. Bronisława Prugara-Ketlinga, czołgiści gen. Stanisława Maczka, lotnicy. Dowódca 45 Korpusu gen. Daille wyróżnił 2 Dywizję Strzelców Pieszych: „Zmuszona brakiem amunicji przerwać walkę, zachowała do końca piękną postawę żołnierską w ogniu”. Rząd Władysława Sikorskiego odrzucił propozycję kapitulacji, niektórzy z naszych rodaków zasilili francuską partyzantkę. Powróciły i zwarte oddziały polskie na ziemię francuskie, ale dopiero w 1944 roku.

Odchodzą na wieczną wartę ostatni żołnierze polscy z Coëtquidan, mało kto z miejscowych Francuzów pamięta już tamte lata, tamtych chłopców gotowych ginąć za Francję z myślą o wolnej Rzeczypospolitej. Ich chwałę niech głosi ta tablica, niech będzie jeszcze jednym dowodem wiekowej przyjaźni polsko-francuskiej.

Pragnę podziękować władzom Francji za życzliwość wobec mojej ojczyzny i moich rodaków, za otwarte ramiona na powitanie Polski w zjednoczonej Europie. Serdeczne słowa wdzięczności kieruję do przedstawicieli francuskich sił zbrojnych, kłaniam się byłym kombatanom, mieszkańcom, wszystkim przybyłym na dzisiejszą uroczystość. To zaszczyt i wielka satysfakcja stać wśród przyjaciół przenosząc się myślami do lat wspólnej walki o wolność Francji i Polski.

(Przemówienie wygłoszone w czerwcu 1997 r.)

Z widokiem na Polskę

Szwajcaria, kraj tyleż bogaty i spokojny co dla Słowianina nieco nudnawy. Wyobraźcie sobie Państwo życie od rana do wieczora i tak przez kolejne dni, tygodnie, miesiące bez awarii, sensacji. W dodatku Szwajcar chętnie udziela napomnień gościom, ma satysfakcję z pouczeń. W trakcie rozmowy ukazał się nam taki pan i łaskawie „przekablował” gospodarzowi, że pewnie są tu obcy, bo drzwi do domu pozostały otwarte. Jest jednak wyjątek w tej regule, może pęknąć sprężyna w szwajcarskim zegarku. Chodzi oczywiście o złoto po ofiarach żydowskich okresu II wojny światowej. Tutejszy pan prezydent wystąpił z propozycją znaczących wypłat dla osób prześladowanych przez nazistów i na cele charytatywne. Mówiono mi, że problem polega jednak nie na uszczupleniu zasobów dolarowych, lecz w utrzymaniu prestiżu banków szwajcarskich, ich tradycyjnych zasad.

Miasto z niedźwiedziem w herbie

Pytanie o stolicę Szwajcarii wprawia pewnie wielu Polaków w stan zakłopotania. Więcej chyba wiemy o oenetzowskiej Genewie i bogatym Zurichu, może nawet o wielce historycznej Bazylei, romantycznej Lucernie, o kurortach i przełęczach alpejskich niż o Bernie, które w dodatku myli się nam z Brnem. Brak wyrazistej stolicy, to jeszcze jeden dowód na dalece posuniętą decentralizację państwa z czerwonym krzyżem w godle, w którym są aż cztery języki urzędowe i kantony z daleko posuniętą samodzielnością. Można tu usłyszeć taki oto dowcip. W międzynarodowym uczniowskim towarzystwie pada pytanie do maluczkich: skąd się biorą dzieci. Płochliwe dziewczę mówi o bocianie, jakiś malec o kapuście, a młody Szwajcar na to rzecz: dokładnie proszę pana to ja nie wiem, ale na pewno dzieje się to inaczej w każdym z naszych kantonów.

Stare Berno (lokacja w 1191 r.) leży w zakolu łądu oblanego wodami „krzyżówkowej” rzeki Aare. Długie ulice mają kształt pasaży handlowych z charakterystycznymi bramami, fontannami i podcieniami. Wzdłuż 6 kilometrów ulic zmieściło się 150 restauracji, a kto zliczy tłumy turystów, pajęczynę sklepów, galerii, lokali oferujących różne usługi przybyszom. Tu się w zasadzie nie mieszka, tu się chodzi, podziwia, kupuje. Nad zamożnymi kamienicami dominuje bryła katedry z początków XV wieku i tylko w jej portalu została utrwalona tragiczna wi-

zja sądu ostatecznego, piekła, kar za grzechy. Nabożeństwo odprawiane jest raz dziennie w obrządku protestanckim. W pobliżu zaś świątyni trwa zabawa, a uciech zażywa się w zależności o zasobności portfela. Niestety Szwajcaria to obecnie jeden z najdroższych krajów świata. Wiedzą o tym może nabożeńniej ukarani mandatami. Na przykład za posiadanie antyradar (nie musi być włączony) należy zapłacić 500-600 franków, czyli dobrze ponad milion starych złotych, a od Polaka, który znacząco przekroczył dozwoloną szybkość policjant zażyczył sobie 1000 franków i nie ustąpił mimo wstawiennictwa konsulatu RP.

Najpiękniejszy jest widok spod katedry berneńskiej na płynącą w dole rzekę i na wzgórze okalające miasto. Zachwyca czerwień dachów, wciąż soczysta zieleń, wieczorem i ogniki świateł, pobudza wyobraźnię szum wody. Bryła najbliższa za Aare to zamek, w którym mieści się muzeum historyczne. A na trawnikach w cieniu kasztanów śpią bądź uczują ci biedniejsi obywatele stołeczni oraz tacyż goście. Na koczach butelki wina i owoce, roześmiane pary. Na pobliskich ławeczkach przeważają miłośnicy książek, a w alejkach ulokowali się amatorzy wszelkich gier. Obserwowałem czas dłuższy trzydziestolatka w porwanych spodniach i na boso rzucającego z wielkim namaszczeniem kulami. Podejrzewać można, że czyni tak codziennie obojętny na gapiów i inne pokusy miasta z niedźwiedziem w herbie.

Jeziorko w Näfels

To był główny cel mego wyjazdu, odsłonięcie tablicy pamiątkowej na tamie zbudowanej przez polskich żołnierzy w 1941 roku. 2 Dywizja Strzelców Pieszych formowała się we Francji od listopada 1939 roku. W czerwcu roku następnego pojechała na front walczyć z Niemcami. Piechurzy nasi bili się dzielnie aż do momentu kapitulacji Francuzów. Bywało i tak, że gospodarze mieli za złe żołnierzom generała Władysława Sikorskiego, iż ci trwają w obronie. Mogli przecież narazić ludność na represje, a oddziały francuskie na straty. Trzeba więc było odejść do pobliskiej Szwajcarii z nadzieją na nową okazję do wzięcia na Niemcach rewanzu na wrzesień 1939 roku.

Niestety strzelcy gen. Bronisława Prugara-Ketlinga dostali się do obozów dla internowanych. Z nich część żołnierzy uciekła, kilka tysięcy internowanych rodaków podjęło studia, ponad 12 tysięcy pracowało w lasach, na polach, przy budowie dróg, w kopalniach i zakładach przemysłowych. Nie zawsze było tak pogodnie, jak się dzisiaj pisze

w książkach, ale „szło wytrzymać”. Niektórzy pozostali na stałe, są szanowanymi obywatelami Szwajcarii. O postawie Szwajcarów opowiadał mi białostocznin Zygmunt Stankiewicz. Nie udało mu się ucieczka, stanął więc przed sądem wojskowym. Sędzia zgodnie z obowiązującym prawem wymierzył karę więzienia, ale po odczytaniu wyroku dodał: *Chciałbym, żeby taki duch panował w naszej armii.*

Droga, która jechaliśmy na miejsce uroczystości pięła się ostro pod górę, widoczki przypominały te z opakowań czekolady. Na polanie najpierw dostrzeżliśmy liczne maszty z flagami. Było ich więcej niż chat górskich. Przypomniał się któremuś z Polaków kolejny dowcip. Zapytano Szwajcara, dlaczego aż przed tyle flag wisi w pobliżu jego posesji. To pomaga przeciwko żyrafom - padła odpowiedź. Ale tu przecież nie ma żadnej żyrafy! To dowodzi - preoruje pewny siebie Szwajcar, że stosujemy właśnie skuteczny sposób na długoszyjne zwierzęta, które mogłyby nam zniszczyć zieleń.

Oczywiście, że były przemówienia i tej okazji też nie przepuściłem. Nie mogło zabraknąć toastów spełnianych wcale smacznym winem, obyło się jedynie bez kombatanckiej grochówki. Uwagę przyciągała pani, która przyjechała ze zdjęciem ojca. Nie poznała nigdy taty za życia. Był internowanym polskim żołnierzem, uciekł do partyzantki francuskiej nie wiedząc, że miła mu Szwajcarka jest w ciąży. Zostało więc zdjęcie, trwa sentyment do kraju nad Wisłą, cieszą niebieskie oczy w ciemnej oprawie.

Wspomniana tama zyskała tablicę pamiątkową ufundowaną na koszt Polski, a zamontowaną przez władze gminne. Budowa nadal spełnia pożyteczną rolę, pomaga w powstrzymaniu wód wiosennych spływających z gór. W roli jej wykonawców wystąpiło przed ponad pół wiekiem czterdziestu internowanych żołnierzy polskich. Podjęli oni studia na Politechnice w Zurychu, a w ramach praktyk otrzymali to właśnie zadanie. Wywiązali się z niego znakomicie. Pan prezydent gminy Näfels uznał, że tama i okoliczna łąka to trwale ogniwa przyjaźni polsko-szwajcarskiej.

General Thaddei

W pobliżu Berna leży uroczne miasto Solothur, stolica niewielkiego kantonu z biało-czerwoną flagą. Jeśli podam spolszczoną nazwę tego historycznego grodu szwajcarskiego – Solura, to już chyba wszystko

staje się jasne. Tak, rzecz będzie o Tadeuszu Kościuszcze, bohaterze dwóch narodów.

Niemal w centrum starówki pod numerem 12 przy ulicy Gurzelngasse stoi dawny dom Zeltnerów, a w nim na piętrze w dwóch pokojach zgromadzono wiele cennych pamiątek. To tu w 1815 r. zamieszkał rozczarowany Kościuszko. Ani cesarz Napoleon I, ani po nim car rosyjski Aleksander I nie spełnili prośb Naczelnika i nie odtworzyli państwa polskiego. Dożywał swych lat zwycięzca spod Raclawic skromnie, robił wycieczki konne, czasem odwiedzał rodaków w bardziej odległych częściach Szwajcarii, obdarowywał starców i dzieci. Szczególnym afektem darzył córkę gospodarza Emilię, co powodowało nawet plotki. Jesienią 1817 r. pogorszyło się zdrowie Kościuszki, 15 października nastąpił zgon. Zaczęły się sensacje okołotestamentowe, bo pozostawiony majątek okazał się wcale pokaźnym.

Ostatecznie jak Polska została podzielona na trzy części, tak i szczątki doczesne naszego narodowego bohatera znalazły się w trzech miejscach. Wnętrzości Franciszek Ksawery Zeltner pochował na cmentarzu w Zuchwilu na przedmieściach Solothurn i tam stoi po dzień dzisiejszy godny pomnik przywołujący również pamięć Rejtana. Obok jest ładna nowa kaplica poświęcona żołnierzom 2 Dywizji Strzelców Piechoty z dziełami Zygmunta Stankiewicza. Serce Kościuszki dostało się wraz z dużym spadkiem wspomnianej Emilii, w 1895 r. trafiło do Muzeum Polskiego w Rapperswilu, stąd w 1927 r. pojechało na Zamek Królewski w Warszawie. Natomiast zabalsamowane zwłoki krótko tylko przechowywano w miejscowym kościele i w 1818 r. ta trumna zajęła miejsce wśród sarkofagów królewskich na Wawelu. Przypomnijmy, że urodził się Thaddei Kościuszko w poleskiej Mereczowszyźnie, a mieszkał w Sichnowicach koło Brześcia.

Z dużymi kłopotami odtworzono w latach dwudziestych naszego wieku muzeum Naczelnika, a w nim i łożo śmierci. Można dziś stanąć obok niego w zadumie. Nie za długie (pan przewodnik twierdzi, że ówczesni ludzie spali z podkurczonymi nogami, a *wyciągali* je po śmierci), przykryte kapą z Orlem, nad nim obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej i szabla, na podłodze zaś leży gobelin z widokiem Wawelu. Z zachowanych pamiątek osobistych po Tadeuszu Kościuszcze zwracają uwagę siodło i rząd koński, pierścień z kosmykiem włosów (ponoć rudych), nieco listów w obcych językach (polskie kazał autor spalić po śmierci). Bardzo cenne są obrazy ze znanym dziełem Wojciecha Kossaka przedstawiającym krakowską przysięgę dowódcy powstania. Jest

kilka porterów, zaskakuje wizerunek z ostatnich miesięcy pędzla Walego Radzikowskiego. Trzeba koniecznie zwrócić uwagę i na okazałą urnę z końca XIX wieku, w której było przechowywane serce Wodza.

Jeszcze tylko krótko o gościach. Wielkim dobroczyńcą muzeum okazał się Ignacy Paderewski, na otwarciu tej placówki w 1936 r. stawił się minister Józef Beck, a w ogóle przybywali tu chętnie politycy różnych barw. W latach ostatnich byli w Solurze i panowie prezydenci Wojciech Jaruzelski oraz Lech Wałęsa.

Narodowe świętości

Gromadzili je polscy emigranci i ich przyjaciele po przegranym powstaniu styczniowym w także szwajcarskim Rapperswilu, miasteczku róż jak z bajki, nad pięknym jeziorem. Udało się hr. Władysławowi Platerowi wejść w posiadanie zamku, wyremontować go, pozyskać ofiarnego opiekuna cenności w osobie Henryka Bukowskiego. Porządkował te skarby także Stefan Żeromski. W 1927 r. kilkanaście wagonów z eksponatami rapperswilskimi skierowano w drogę do Polski. Nikt nie mógł przewidzieć, że w większości jadą na rychłą już zagładę przygotowywaną przez wojska niemieckie. Zamek pozostał, a tak zwane ludowe władze polskie urządzały tu propagandowe wystawki. W 1952 r. wyczerpała się cierpliwość Szwajcarów. Polska powróciła tu jednak w 1975 r., tak powstało trzecie już muzeum. Nie tak bogate jak pierwsze, ale bardzo potrzebne, sympatyczne. Niektórych razi jego wyrazisty prosolidarnościowy charakter, więc szybciej przebiegają przez część sal. Tylko tu chyba można obejrzyć taką oto czwórkę bohaterów walk o niepodległość: hallerczyk z końca I wojny światowej, żołnierz 2 Dywizji Strzelców Pieszej, harcerka z Powstania Warszawskiego, stocznowiec gdański z 1980 roku. Innym i tego mało więc się pieklą, że rzeźba Józefa Piłsudskiego stoi w kącie.

Warto obejrzyć w Rapperswil dowody obecności Szwajcarów w Polsce, w tym architektów (budowniczy ratusza poznańskiego), dworzanię króla Stanisława Poniatowskiego, znakomitych cukierników warszawskich. Dla równowagi są pamiątki po Norbercie Patku, oficerze z okresu powstania listopadowego, twórcy firmy produkującej zegarki. Jest sporo dzieł sztuki, kolekcji, arcydzieł rękodzielnictwa. Zachowała się karta śpiewnika z klasztoru dominikańskiego z 1632 roku, a na niej widnieje dopisek: „cokolwiek sumieniu wadzi to y duszę oszkaradzi”.

„NIEWOLNICY” OKRESU II WOJNY ŚWIATOWEJ

Powstaje ustawa

Panie Marszałku. Panie i Panowie Postowie

W imieniu rządu pragnę zaprezentować projekt ustawy o dodatku pieniężnym do emerytur i rent przysługujących osobom deportowanym do pracy przymusowej oraz osadzonym w obozach pracy przez III Rzeszę i były Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Jest to – przynajmniej spóźniona, za co przepraszam – reakcja na rezolucję sejmową z dnia 18 listopada ubiegłego roku, na liczne postulaty organizacji osób represjonowanych, opinie prezentowane w środkach masowego przekazu. Przyczyną opóźnienia były przede wszystkim szeroko zamierzone konsultacje, ale także – nie kryjemy tego faktu – niepewność, czy można będzie w budżecie na 1996 r. zapewnić stosowne, nie tak wcale małe środki finansowe. Przez cały ten czas Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych bardzo ściśle współpracował z władzami Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę zyskując akceptację proponowanych rozwiązań.

Pierwszy projekt ustawy powstał w czasie dyskusji nad nowelizacją ustawy o kombatantach. Strona rządowa konsekwentnie sprzeciwiała się poszerzeniu podmiotowemu ustawy z 24 stycznia 1991 roku, mając poparcie w tym względzie środowisk kombatanckich. Dobrze więc, że Sejm przyjął 2 września 1994 r. odrębną regulację prawną dla żołnierzy zasadniczej służby wojskowej przymusowo zatrudnianych w kopalniach węgla, kamieniołomach i zakładach wydobywania rud uranu. Dziś rozpoczyna się natomiast debata nad dodatkiem pieniężnym dla osób deportowanych do pracy przymusowej w latach 1939-1948.

Można w tym momencie postawić pytanie, czy to już koniec ustaw przewidujących uhonorowania zbiorowe i świadczenia materialne z tytułu walki oraz represji w latach 1939-1956? Takie nowe potrzeby są zgłaszane jeszcze przez odznaczonych medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, Ukraińców więzionych w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie, osoby wysiedlone, dzieci czasu wojny, tzw. kułaków i inne grupy. Nasuwa się natychmiast wątpliwość, czy nas na to stać, bo i tak budżet państwa polskiego jest najśludziej – ze znanych nam budżetów – obciążony wypłatami wynikającymi z wydarzeń wojny, okupacji, walki o ustrój i władzę po 1944/1945 roku. Towarzyszą temu niemal powszechne sprzeciwy co do zasadności mnożenia bytów kombatanckich oraz też coraz częściej artykułowane zastrzeżenia odnośnie wyróżniania kolejnych grup spośród wszystkich obywateli Rzeczypospolitej żyjących w tamtych latach walki, zagrożenia życia, cierpień, poniżenia godności ludzkiej.

Ustawa dziś przedstawiana, zgodnie ze wspomnianą rezolucją sejmową z 18 listopada ubiegłego roku, przyjętą niemal jednogłośnie przez panie i panów postów, dotyczy osób de-

portowanych do pracy przymusowej przez III Rzeszę, ale również - w tym przejawiała się inicjatywa rządu - osób wywiezionych do prac przymusowych na tereny byłego Związku Radzieckiego. Z posiadanych przez nasz Urząd kopii materiałów NKWD, na podstawie źródeł drukowanych i opracowań historycznych, liczbę Polaków wywiezionych do ZSRR na roboty przymusowe można określić na około 50 tys. osób, przy czym żyje z nich prawdopodobnie tylko około 25 tys. Nie wlicza się do tej zbiorowości tzw. Sybiraków, zatem więźniów i łagieników, deportowanych na wschód w czasie wielkich wywózek 1940 i 1941 roku, żołnierzy Polskiej Podziemnej umieszczonych w obozach NKWD po wejściu Armii Radzieckiej na terytoria polskie. Są to zatem przede wszystkim osoby deportowane po wojnie do obozów pracy i batalionów roboczych zlokalizowanych najczęściej przy kopalniach węgla kamiennego i rud oraz w dużych ośrodkach przemysłowych ZSRR, wybrane przez NKWD w wyniku masowych arestowań i łapanek ulicznych organizowanych na Pomorzu, w Wielkopolsce, na Śląsku.

Lepiej znane są nam wszystkim losy Polaków osadzonych w okresie wojny w niemieckich obozach pracy przymusowej z przyczyn politycznych, narodowościowych, rasowych i religijnych oraz deportowanych na roboty przymusowe do III Rzeszy w liczbie około 3 milionów. Żyjący spośród nich są na ogół członkami Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę, działającego bardzo aktywnie od kwietnia 1989 roku. Stowarzyszenie to popierając ideę ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków z Niemcami nie rezygnuje z dochodzenia odszkodowań cywilno-prawnych przewidzianych przepisami konwencji haskiej z 18 października 1907 r. Jego członkowie w większości (niemal 470 tys. osób) otrzymali jednorazową pomoc finansową z Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie. Przeciętna wypłata sięgała 9,5 miliona złotych i była możliwa dzięki przekazaniu Fundacji przez rząd niemiecki w styczniu 1992 r. 500 mln marek. Należy wyraźnie stwierdzić, że dodatek pieniężny przewidziany omawianą dziś ustawą, wypłacany z budżetu państwa polskiego nie jest odszkodowaniem adekwatnym do wymiaru niewolniczej pracy na rzecz III Rzeszy lub ZSRR. Wynika on przede wszystkim z konieczności poprawienia dochodów naszych współobywateli, którzy z powodu deportacji i przymusowej pracy są dziś silnie narażeni na dolegliwości chorobowe, wymagają starannejszej opieki i oczekują na pełne zadośćuczynienie za doznane krzywdy. Dlatego też projektowane świadczenie ma charakter stały, nie przechodzi jednak na członków rodzin, spadkobierców.

Przewiduje się, że ubiegający się o dodatek pieniężny musi udokumentować co najmniej 6-miesięczny czas trwania represji. Za każdy pełny miesiąc trwania niewolniczej pracy otrzyma on kwotę w wysokości 0,5% przeciętnego wynagrodzenia w kwartale poprzedzającym termin waloryzacji emerytur i rent, łącznie jednak nie więcej niż 10% wynagrodzenia, podobnie jak przewiduje to i wspomniana ustawa o kombatantach oraz niektórych grupach osób represjonowanych z 24 stycznia 1991 r. Jest to świadczenie wynikające z projektowanej ustawy, wypłacane łącznie z emeryturą lub rentą. Urząd przewiduje wydawania legitymacji i jakiegokolwiek innego potwierdzenia honorowego statusu osoby deportowanej do przymusowej

pracy. Ograniczymy się do sprawdzania składanych wniosków, wydawania decyzji i przesyłania ich do właściwych organów emerytalno-rentowych.

Szczegóły proceduralne zostaną określone w zarządzeniu kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Upředzając ewentualne pytania pragnę uściślić zapis paragrafu 2 przekazanego panom i paniom posłom projektu zarządzenia. Do wniosku obli-gatoryjnie naszym zdaniem należy dołączyć życiorys i dowody potwierdzające fakt represji, a tym mogą być i zeznania świadków. Ustawa niestety nie wejdzie w życie z dniem 1 stycznia 1996 r., ale są wszystkie dane, by utrzymać dzień 1 lipca przyszłego roku jako zapowiadany termin pierwszej płatności. Ograniczony limit środków sprawi, że w przyszłym roku kalenda-rzowym wypłat mogą spodziewać się przede wszystkim osoby, które ukończyły 80 lat, a nie wykluczone, że trzeba będzie wprowadzić i kolejne grupy wiekowe, gdyż oczekujemy wpłynię-cia nawet 500 tys. wniosków, w tym około 340 tys. zasadnych. Wnioski składać będzie moż-na do 31 grudnia 1999 roku.

Wątpliwości może budzić zasięg terytorialny prezentowanej ustawy. Prawo do dodatku pieniężnego będą mieli wyłącznie obywatele stale zamieszkali w granicach Rzeczypospolitej Polskiej, którzy byli również obywatelami polskimi w okresie podlegania represjom i zostali osadzeni w niemieckich obozach pracy przymusowej w okresie II wojny światowej lub byli de-portowani do pracy przymusowej z terenów wchodzących w skład II Rzeczypospolitej na tere-ny III Rzeszy i kraje przez nią okupowane. Analogicznie chodzi o deportowanych z terytorium II Rzeczypospolitej po 17 września 1939 r. na obszar ZSRR i tereny przez ten kraj okupowane, ale po 5 lutego 1946 r., czyli po ratyfikacji układu granicznego polsko-radzieckiego, wywie-zionych już tylko z terytorium państwa polskiego w obecnych granicach. I ostatnia już chyba kwestia wymagająca wyjaśnienia. Dodatek pieniężny przewidziany prezentowaną ustawą nie będzie przysługiwał de facto osobom uprawnionym do świadczeń z tytułu wspomnianych już ustaw o kombatantach oraz niektórych grupach ofiar represji i o górnikach-żołnierzach, nie jest to bowiem - powtarzam - odszkodowanie za niewolniczą pracę na rzecz III Rzeszy i ZSRR. Wybór jednego z dwóch świadczeń należy do zainteresowanego.

Wysoki Sejmie. Jestem przekonany, że projektowana ustawa wywoła ożywioną dyskusję, zwłaszcza że zgłoszony został i projekt poselski. Wierzę, że podczas prac w komisji osiągniemy concensus, konsultując wszelkie ewentualne zmiany z zainteresowanymi środowiskami i że uczynimy to w możliwie najkrótszym terminie.

*(Przemówienie to wygłosiłem 1 grudnia 1995 r.
Ustawa w poprawionym kształcie
obowiązuje od lipca 1996 r., a świadczenia
są wylacane od października tegoż roku.
Mają one charakter samoistny).*

Kto zapłaci polskim niewolnikom?

Czekamy jeszcze tylko na podpis Prezydenta RP pod ustawą o świadczeniu pieniężnym przysługującym osobom deportowanym do pracy przymusowej oraz osadzonym w obozach pracy przez III Rzeszę i Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. W trakcie debat parlamentarnych właściwie wszyscy byli „za” i niemal równie zgodnie zadawano sobie pytanie: dlaczego płacić będzie rząd polski?

/.../ To nie jest o d s z k o d o w a n i e za niewolniczą pracę na rzecz obu okupantów, a jedynie stała pomoc finansowa dla rodaków, którzy cierpieli, bo byli obywatelami Rzeczypospolitej, a teraz w większości częściej chorują, żyją w gorszych warunkach materialnych. Nie pytamy o wiek osoby represjonowanej, natomiast konieczny jest co najmniej sześciomiesięczny czas trwania represji. Pominięte być powinny osoby skazane na pobyt w obozach pracy z powodu czynów kryminalnych i ci, co wyjechali dobrowolnie na roboty do Niemiec. Nie mam niestety wątpliwości, że część z tych obu grup prześlizgnie się przez sito weryfikacji, bo kto dziś przyzna się dobrowolnie do postaw nagannych, kto odmówi sobie okazji otrzymania większej emerytury?

Dla uspokojenia własnego sumienia można przecież stworzyć opowieść o biernym oporze przeciwko okupantowi, stanie „wyższej konieczności”, prowokacjach i machinacjach osób trzecich. Realizacja ustawy kombatanckiej poucza, że w tym względzie pomysłowość naszych rodaków jest zadziwiająca. Stąd wynika i konieczność precyzyjnego określenia procedur urzędowych, zwłaszcza rodzajów materiałów dowodowych. Jak powstrzymać pospolitych wyrwigroszów, nie szykanując rzeczywiście represjonowanych, którzy mogą przedstawić urzędnikowi tylko relacje własne z lat poniewierki? W ujęciu indywidualnym uzasadnione pretencje budzić może i ów wymóg deportacji poza granice II Rzeczypospolitej. Nie oszukujmy się, nie jest możliwe świadczenie państwowe dla wszystkich cierpiących w okresie wojny i okupacji, a wybór w pół wieku później pod każdą szerokością i długością geograficzną powodowałby emocje, skargi, oburzenie.

Spojrzenie w stronę Niemiec

Prawdą jest, że Polska dwukrotnie zrzekła się oficjalnie odszkodowań ze strony Niemiec. Po raz pierwszy stało się to z woli wschodniego hegemonu w 1953 roku, a po raz drugi w traktacie z sąsiadem zacho-

dnim o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, podpisanym w dniu 17 czerwca 1991 r., zatem już w warunkach pełnej suwerenności Rzeczypospolitej. Czym tłumaczyć ustępstwo rządu Tadeusza Mazowieckiego? Chyba przede wszystkim silnymi rozbieżnościami stanowisk prawnych obu układających się stron, drażliwą historią rekompensat już wypłaconych ofiarom nazizmu, powracającymi w niektórych kręgach niemieckich żądaniaми naliczenia odszkodowań przez Polskę za przejęte mienie po III Rzeszy i cierpienia byłych mieszkańców Prus Wschodnich, Pomorza, części Wielkopolski, Śląska. Nie bez znaczenia były z pewnością i elementy naszego wewnętrzznego układu politycznego, co jeszcze kiedyś opiszą badacze.

Rząd zjednoczonych Niemiec nadal uważa, że praca przymusowa nie była formą nazistowskiego bezprawia, a jedynie „środkiem uzasadnionym działaniami wojennymi”. A jeśli tak, to powinna być rozpatrywana w kategoriach reparacji wojennych, nie zaś zbrodni przeciwko ludzkości, które nie podlegają przedawnieniu. Federalny Trybunał Konstytucyjny z siedzibą w Karlsruhe zwleka z wydaniem w tej kwestii wiążącej interpretacji, choć otrzymał pytania z sądów w Bremen i Bonn. Jeśli zaś nawet pojawi się interpretacja korzystna dla byłych „niewolników”, to trzeba będzie wyjaśnić inne jeszcze implikacje wynikające z Umowy Londyńskiej z 1953 roku. Odbywają się spotkania prawników, trwają dyskusje, wciąż mówi się o nadziejach na pomyślne rozwiązanie, a przecież wiek osób poszkodowanych wymaga szybkich rozwiązań. Tragicznie często w tych przypadkach „sprawę rozwiązuje kalendarz”.

Zdaniem Polaków biorących udział w dysputach prawnych właściwsze jest używanie terminu praca niewolnicza (Sklavenarbeit) zamiast praca przymusowa (Zwangsarbeit). Deportacje do Rzeszy dotknęły 3 milionów Polaków, wliczając w to i około 400 tys. jeńców wojennych. Do 1941 r. robotnicy polscy stanowili około 60% wszystkich wywiezionych do Niemiec, a pod koniec wojny około 30% „niewolników”, ustępując liczebnością jedynie obywatelom ZSRR. Najmłodszy z nich mieli zaledwie 10 lat, najstarsi ponad 60 lat, a pochodzili w zasadzie ze wszystkich grup i warstw społecznych. Poddano ich zarządzeniom dyskryminacyjnym, skazano na głód, ponieważ „potraktowanie szczególnie”, a propaganda goebbelsowska napominała: „Niemcze! Polak nigdy nie jest twoim kolegą!”.

Na stu Polaków deportowanych do III Rzeszy około dwudziestu nie doczekało końca wojny. 7 maja br na warszawskich Powązkach odsło-

nięto pomnik „niewolników” polskich i jest to zarazem symboliczny grób tych, co nie wrócili z Niemiec do domów rodzinnych. Dobrze, że tak dzielnie poczynają sobie stowarzyszenia osób poszkodowanych. Źle, że narasta konflikt między nimi a środowiskami kombatantów.

Co już wypłacono?

Nie do końca wyjaśniono zaszczości dokonanych wcześniej wypłat odszkodowań niemieckich. W latach 1961 - 1971 pomoc finansową w wysokości nawet do 40 tys. marek dotarła do 1357 obywateli polskich, ofiar pseudomedycznych eksperymentów przeprowadzanych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Następnie w 1972 r. Ministerstwo Gospodarki i Finansów RFN przekazało stronie polskiej 100 milionów marek, zamykając tym samym sprawę roszczeń z tytułu zbrodni popełnionych przez lekarzy wysługujących się nazistom. Pamiętamy emcje towarzyszące tym wypłatom, bo część kwot przeliczano po oszukańczym kursie na złote polskie, komisje stosowały sobie tylko wiadome kryteria, a jak się okazało w sierpniu 1980 r. 40 milionów marek z przejętych stu milionów władze PRL przeznaczyły na budowę kliniki rządowej w podwarszawskim Aninie.

Trzeci akt rozpoczął się w 1975 r., kiedy to RFN przekazało nam 1,3 miliarda marek z tytułu rozliczeń ubezpieczeniowych. Ten fakt próbowano w Polsce ukryć w tajemnicy, a pełnego rozliczenia nie znamy do dziś. I wreszcie w myśl porozumienia towarzyszącego traktatowi w 1991 r. rząd zjednoczonych Niemiec przelał pół miliarda marek, nie z tytułu oczekiwanego odszkodowania, lecz jako jednorazowy zasiłek dla poszkodowanych przez III Rzeszę. Nie wierząc już chyba agendum państwowym, całą tą kwotę powierzono wspólnie utworzonej Fundacji Polsko - Niemieckie Pojednanie.

O Fundacji można krążyć bardzo różne opinie, są publikowane znaczące rezultaty jej pracy, można przytaczać także afery, skromniejszy zestaw podziękowań i obszerniejszy skarg. Wiem o tym sporo nie tylko z racji zasiadania w Radzie Nadzorczej, ale i dyżurów poselskich. „Pojednanie” przyznało już około pół miliona zasiłków w przeciętnej wysokości 9 milionów (starych!) złotych, wielu jednak składających wnioski wciąż nie może pogodzić się z decyzjami odmownymi. A zaczęło się od kryminalnych wyczynów prezesa, który właśnie oczekuje na wyrok sądowy. Potem weryfikatorów zalała fala wniosków, w części źle udokumentowanych, więc zmieniono reguły, co też ma skończyć się rozprawą

sądową. Jest tak, że ZUS na podstawie zeznań świadków zaliczał okres robót przymusowych do wymiaru emerytur, a Fundacja tych decyzji nie aprobuje. Jej nowy zarząd walczy dzielnie z kombinatorami, zatrudniając często prokuratorów, a symbolem powikłań historycznych są „Dzieci Zamojszczyzny”. Zakładano wstępnie, że około 5 tys. osób otrzyma świadczenie z tego tytułu, a już zgłosiło się ponad 60 tysięcy i końca kolejki chętnych nie widać. Wiele na ten temat mają do powiedzenia także weryfikatorzy Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Po prostu nie zachowały się dokumenty, brakuje tzw. potwierdzonych świadków, na poświadczenie z Międzynarodowego Biura Poszukiwań w Arolsen czeka się po dwa i więcej lat.

Zdaniem doc. Mirosława Podsiadło, przewodniczącego Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę (ponad 700 tys. członków!) kwot wypłaconych przez Fundację „nie można w żaden sposób uznać jako ekwiwalent za wszystkie upokorzenia, niemożność kształcenia się we właściwym wieku, utratę zdrowia, a także za wykonywaną w czasie wojny nieopłacaną lub słabo opłacaną pracę niewolniczą”. Co zatem dalej? Jedno ze stowarzyszeń zbiera od poszkodowanych upoważnienia do wszczęcia procesów sądowych i gotowe jest już dzielić otrzymane kwoty, a wszyscy liczą zwłaszcza na wielkie firmy niemieckie „z przeszłością”. Na razie tylko jedna z nich i to wcale nie największa zadeklarowała wpłatę na konto Fundacji. Samo natomiast „Pojednanie” wypracowało poprzez lokaty bankowe dodatkowe fundusze i zamierza najbardziej poszkodowanym wypłacić drugą „ratę”. Pomocą ofiarom III Rzeszy służy m.in. niemiecka Fundacja Maksymiliana Kolbego, wielu im współczuje, ale odszkodowania rząd niemiecki wypłacił jedynie obywatelom 11 państw Europy Zachodniej i Izraela. Otwartym pozostaje pytanie: co jeszcze w tej sprawie może uczynić rząd RP.

Czego można oczekiwać od Rosji?

W maju br ukazał się drukiem zbiór dokumentów, korespondencji i interwencji mających doprowadzić do przyznania odszkodowań dla Sybiraków od Rosji. Prezes i były senator Ryszard Reiff we wstępie napisał: „Rachunek krzywd jest długi i naznaczony krwią i cierpieniem polskich patriotów, których jedynym przestępstwem była miłość ojczyzny i wola walki o suwerenność państwa polskiego. Pragniemy ten rachunek zamknąć”.

Związek Sybiraków wznowił działalność w 1988 roku (jego metryka sięga 1928 roku) i w dużej mierze za jego to sprawą ustawa sejmowa z 24 stycznia 1991 roku zrównała obywateli II Rzeczypospolitej wywiezionych na wschód przez NKWD z kombatantami, nadała im takie same świadczenia państwowe. Padło w tym czasie i pytanie o odszkodowania ze strony Rosji. Temat wcześniej był zakazany, a jeszcze i w początkach 1989 r. wymazywany przez gorliwych cenzorów. W tym jednak już roku po raz pierwszy strona polska przypomniła stronie radzieckiej o zaległych rachunkach. Mówili o tym między innymi w Moskwie najpierw minister Krzysztof Skubiszewski, a po nim premier T. Mazowiecki. Jednostronnie powracaliśmy do wątków sybirackich podczas negocjacji traktatu o przyjaznej i dobrosąsiedzkiej współpracy z ZSRR, następnie z Rosją. Sami Sybiracy po raz pierwszy zwrócili się bezpośrednio do ambasady ZSRR w marcu 1991 r. i otrzymali następującą odpowiedź: „Kwestia rekompensat za pobyt w obozach i miejscach robót przymusowych może być rozwiązana wyłącznie synchronicznie, jednakże nie wcześniej, niż przed uregulowaniem tego problemu w stosunku do obywateli radzieckich”.

W Rosji sprawę rekompensaty pieniężnej za represje uregulowano ustawą z 18 października 1991 roku. Ograniczono się wyłącznie do represji politycznych, a więc pominięto zadośćuczynienie za pracę przymusową, deportacje, utratę mienia. Co gorsze, konieczny jest wyrok rehabilitacyjny, a ten można uzyskać jeśli skazanie nastąpiło mocą wyroku. Z danych naszej Ambasady w Moskwie wynika, że w 1995 r. tylko 17 wniosków rodaków spełniało to kryterium. Polaków z reguły kierowano na zesłanie i przymuszano do niewolniczych robót w drodze rozporządzeń administracyjnych. Nie bez znaczenia są i dwie następne okoliczności: cudem niemal uzyskaną rekompensatę trzeba odbierać osobiście w miejscu, gdzie nastąpił areszt, a jej wysokość równa się 75 procentom minimalnej płacy za miesiąc pozbawienia wolności, co w styczniu bieżącego roku stanowiło równowartość 13 dolarów. I jakby jeszcze tego mało, to daremnie o rehabilitację mogą prosić oskarżeni o szpiegostwo (rzekome!) i działalność band (czytaj polskiej partyzantki). Ci niepolityczni w myśl postanowienia rządu rosyjskiego mają już prawo do kilku ulg, ale jeśli zamieszkują stale w granicach Federacji. Są jeszcze akty prawne o rehabilitacji represjonowanych narodów, też bez szans na objęcie Polaków.

Pamięć i pojednanie

Idea Związku Sybiraków: pamięć i pojednanie sprzyja podejmowaniu wciąż nowych inicjatyw. Najbardziej liczone chyba na przyjazd do Polski Borysa Jelcyna, zaproszonego na uroczystości 50-lecia wybuchu Powstania Warszawskiego. Dla niego to przygotowano księgę zawierającą około 50 tysięcy nazwisk żyjących łągierników i zesłańców. Ten tom liczący 1720 stron, a ważący około 2 kilogramów wręczono ostatecznie Siergiejowi Filatowowi, dołączając jedynie list do prezydenta Rosji. Autorzy zapewnili w nim adresata, że „śledzą ze szczególnym zainteresowaniem przemiany zachodzące w Rosji”. Liczbę miesięcy pobytu Polaków na zsyłce w ZSRR określano na 4,5 miliona, a „sprawą otwartą jest przyjęcie mnożnika za 1 miesiąc pracy, który nie stanowiłby poniżającego przeliczenia na złotówki, które rząd rosyjski przeznaczy dla Polaków”. Niestety nic do chwili obecnej nie przeznaczył. To nie jest rzeczywiście dobry czas do podejmowania tego typu decyzji przez władze Federacji, ale nasi Sybiracy nie tracą nadziei.

Pesymiści (może raczej realiści) nie wierzą w możliwość zawarcia odrębnej umowy polsko-rosyjskiej regulującej kwestię odszkodowań dla naszych ofiar stalinizmu. Chyba większe szanse mają zabiegi o korzystniejszą interpretację funkcjonujących ustaw, by objąć nimi wszystkie formy represji politycznych, w tym na przykład i opór przeciwko kolchozom, także by ustanowić wyższe rekompensaty dla obywateli polskich i umożliwić ich transfer do Polski. Nacisk polski będzie się z pewnością wzmacniał, strona rosyjska nie powiedziała niestety „tak”, ale i nie mówi obecnie w tonie kategorycznym „nie”. A Sybiracy wciąż liczą, że otrzymają fundusze, jeśli nie indywidualnie, to w formie daru dla wszystkich osób represjonowanych przez stalinizm. Oby tak się stało nie tylko ze względu na sprawiedliwość dziejową, ale i przyszłość stosunków polsko-rosyjskich.

Z ostatnich miesięcy

Do tekstu prezentowanego w zmienionej postaci na łamach „Rzeczypospolitej” można dodać kilka najnowszych danych.

Sejm II kadencji przyjął w końcowym okresie swej pracy rezolucję pod adresem rządu polskiego. Posłowie poparli tym samym starania Związku Sybiraków domagającego się bardziej stanowczych nacisków na władze rosyjskie. A jeśli nie, to niech odszkodowania wypłaci strona polska i rozliczy wierzycelność z Moskwą.

W Niemczech zbliża się do końca pierwszy proces sądowy o odszkodowania dla polskich „niewolników”. Trybunał Konstytucyjny RFN odrzucił interpretację, że są to przedawnione roszczenia. Znaczące sumy otrzymała grupa Słowian, ale z obywatelstwem amerykańskim. Rośnie znaczenie i lobby polskiego.

Wygłoszone w Berlinie

1 września 1939 roku to karta bardzo ważna w dziejach Polski, karta skrwawiona, rozpoczynająca bohaterskie zmagania obrońców Ojczyzny i bezgraniczne cierpienia ludności cywilnej zadawane przez najeźdźców z zachodu i wschodu. Polska jako pierwszy kraj na świecie powiedziała NIE Hitlerowi, a potem uczestniczyła w II wojnie światowej przez 5 lat i ponad 8 miesięcy tracąc 6 milionów swych obywateli.

A dodać trzeba jeszcze niemal 5 milionów wysiedlonych z własnych domów i gospodarstw oraz wywiezionych na przymusowe roboty, rannych i okaleczonych, cierpiących w stalinowskich łagrach, w hitlerowskich obozach i więzieniach. 6 lipca bieżącego roku mówił o tym w polskim Sejmie kanclerz federalny RFN Helmut Kohl: „My, Niemcy - powiedział kanclerz Kohl - nie zapominamy, że Polska była pierwszą ofiarą rozpoczętej przez Hitlera napastniczej wojny, nie zapominamy o cierpieniach Narodu Polskiego”. Mówił o tym także minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej Władysław Bartoszewski na specjalnej sesji Bundestagu i Bundesratu w dniu 28 kwietnia.

Minister Bartoszewski przypomniał trudną drogę otwierania się Niemiec i Polski, przełamywania uprzedzeń, budowania mostów. Powiedział także: „Rozrachunki z przeszłością są często aktem odwagi”. Dodał jeszcze: „Polska odzyskała suwerenność polityczną, Odzyskuje też suwerenność duchową. Jej miarą jest poczucie moralnej odpowiedzialności za całą historię, w której - jak zawsze - są karty i jasne, i ciemne”.

Pamiętamy zatem - bo to obowiązek - o cierpieniach pokoleń rodaków, a chcemy poznać całą prawdę i pamiętać również o cierpieniach innych narodów, w tym niemieckiego, naszych sąsiadów. Cieszę się, że w dniu dzisiejszym odbywają się niemal jednocześnie uroczystości na Westerplatte i w Ciechocinku, gdzie ma miejsce kombatancie pojednanie polsko-niemieckie, w Warszawie, w bardzo wielu miastach i właśnie w Berlinie.

Tak wpisujemy się w dzieło rozpoczęte jeszcze w latach sześćdziesiątych przez biskupów polskich, a rozwinięte i usankcjonowane przez przywódców naszych państw w podpisanym 17 czerwca 1991 roku traktacie o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Będziemy kontynuować to dzieło intelektualistów, ludzi wielkiego ducha i rozsądku, tworząc wspólny ład europejski. Nie zamazując, nie fałszując historii uczmy się współżyć w pokoju, wzajemnie poznawać i wzbogacać bezpośrednie międzyludzkie kontakty Polaków i Niemców, uczmy się budować Europę XXI wieku.

Kanclerz Helmut Kohl podczas lipcowego przemówienia w naszym Sejmie przytoczył słowa polskiego wieszca Adama Mickiewicza: „Jakież teraz jest pierwsze życzenie ludów? Nie wahamy się powiedzieć, że jest to życzenie porozumienia się, połączenia się, zmasowania interesów”. Tak sądzimy również obecnie, stąd nasza radość z pobytu w Berlinie właśnie w dniu 1 września, w 56 rocznicę wybuchu II wojny światowej. Dziękuję w imieniu strony polskiej za zaproszenie i przygotowanie tego spotkania.

(Przemówienie wygłoszone w dniu 1 września 1993 roku podczas odsłonięcia pierwszej tablicy pamiątkowej poświęconej Polakom wywiezionym do prac przymusowych na tereny III Rzeszy).

Z POSELSKIEGO NOTATNIKA

W początkach 1997 roku zacząłem zapisywać rażące przykłady bied polskich, mając na myśli nie tylko ubóstwo materialne. Po miesiącu musiałem zrezygnować, zbyt bowiem czarne to były refleksje. Teraz odważam się jednak przedrukować kilka „grzechów”

Pierwszy tydzień stycznia - grzech obojętności

Zmarli w świątecznej scenerii

Przygotowania do świąt zakłóciły wyjątkowo silne mrozy. Syci i ciepło ubrani poruszający się po miastach wspaniałymi samochodami tyłuż narzekali na kaprys pogody, co i cieszyli się z białej oprawy Bożego Narodzenia oraz Sylwestra 1996 roku. Dużo mówiono o staropolskiej tradycji, sianku pod obrusem i dodatkowym nakryciu dla nieoczekiwanego gościa. To przecież najbardziej rodzinne święto, niesie ze sobą nadzieję. Podążmy wszyscy wraz do stajenki...

W bożonarodzeniowym tygodniu zmarło w III Rzeczypospolitej z mrozu co najmniej dziesięć osób, w początkach 1997 roku mówiło się już o 50 ofiarach. Kraj nasz znalazł się w czołówce europejskiej, może nawet na pozycji lidera. Tak często marzy nam się przodownictwo. Byli wśród zamarzniętych i zwykli pijaczkowie, przeważali jednak po prostu bezdomni, starsi, samotni, głodni.

Ad hoc pojawiły się pierwsze szacunki populacji nędzarzy, z pewnością zaniżone. Na przykład Wojewódzki Ośrodek Opieki Społecznej w Katowicach ocenił, że w tym bogatym jak na polskie warunki województwie jest około 1500 bezdomnych. W województwie warszawskim nawet do 5000, w całej Polsce może 50 000, a może tylko 30 000. Dane z innego źródła: samotnych i bezdomnych potrzebujących pilnie pomocy jest od 40 do 80 tysięcy. Umrzeć z zimna można i w domu, łatwiej na klatkę schodowej, dworcu kolejowym, na ławce, działce, gdzieś w kącie, jeśli się padnie na śnieg z niedopitą butelką denaturatu.

W schroniskach dla bezdomnych tłoczno. „Pani Helena ma spuszczoną głowę. W zamrzniętych dłoniach nerwowo tarmosi zniszczoną reklamówkę. Spod sfilcowanej czapki wystają siwe kosmyki. - Jedna świeczka mi tylko w domu została. Boję się siedzieć po ciemku. Boję się, że marznę. I kto mnie wtedy znajdzie? Nie chcę takiej śmierci...” (Ka-

tarzyna Sieklica, „Życie Warszawy”). Śmierć na stosie szmat z głową opartą o rurę, która przestała grać. Okazuje się, że taka śmierć nie wadzi zbyt wiele świętującym. Podczas noworocznego balu dla bezdomnych na warszawskim Dworcu Zachodnim ktoś zaproponował, by minutą ciszy uczcić pamięć tych wszystkich, którzy nie przetrzymali fali mroźów.

Natomiast ważna osoba z Departamentu Pomocy Społecznej w Ministerstwie Pracy i Płacy udzieliła następującej odpowiedzi prasie: Nie organizujemy żadnej pomocy. Pieniądze z 1996 r. zostały wydane, nowych nie otrzymaliśmy, zaskórniaków nie posiadamy. Łącznie bezdomnymi zajmuje się u nas poza agendami państwowymi 350 organizacji.

Szczęśliwego 1997 roku!

PS. Mróz wkrótce zelżał, a 7 stycznia podczas posiedzenia Rady Ministrów premier W. Cimoszewicz powiedział, że „dopuszczenie do zamarnięcia ludzi jest porażką dla całego społeczeństwa.” Uruchomiono potrzebne środki finansowe.

Drugi tydzień stycznia - grzech ogłupienia

Do czego są zdolne normalne dziewczynki

Dramat rozegrał się we Wrocławiu. Dwie uczennice klasy VIII zaplanowały starannie zabójstwo koleżanki, bo ta nie pasowała do innych, denerwowała je starając się pokazać, że jest lepsza. Przechwalała się ostatnio, że jej mama przyniesie od dyrektora pięć tysięcy złotych na schronisko dla zwierząt. Policja określa, że cała trójka czternastolatek pochodzi z normalnych rodzin.

Para morderczyn wywołała Agnieszkę z domu, poczem sprytnie koleżanki koleżankę zawiadły nad brzeg rzeki Ślęzy. Miały ze sobą nóż finkę, ustaliły wcześniej która zada pierwszy cios. Obawiając się, że mogą być kłopoty z przebicciem ciepłej kurtki poradziły zwabionej, by ją rozpięła i oczyściła z brudu. Kiedy ofiara tak uczyniła silniejsza z „normalnych” napastniczek przytrzymała Agnieszkę, druga pchnęła ją finką. Potem na zmianę siekły nożem w pierś, brzuch, ręce. Krwawiąca wyrwała się furiatkom, te jednak znów dopadły ofiarę. Potem zdjęły konającą ową kurtkę, rękawice i czapkę, by upozorować mord w wykonaniu anonimowego bezdomnego poszukującego ochrony przed zimnem. Sprawnie ukryły w krzakach zwłoki, a nóż i zabrane części ubrania wyrzuciły do osiedlowych śmietników. Jakby tego mało jeszcze

zadbały o alibi idąc do mieszkania Agnieszki. Matka zabitej poczęstowała koleżanki herbatą...

Policjanci długo nie mogli zrozumieć o co chodzi, gdy na drugi dzień dwie morderczynie z własnej inicjatywy złożyły szczegółowe relacje. Podejrzewano żart, potem sądzono, że to były jedynie przygodne obserwatorki zabójstwa. Zwłoki Agnieszki mogły leżeć niezauważone w krzakach aż do roztopów. Dlaczego się więc owe „normalne” przyznały? Jedna z nich powiedziała o wyczynie starszej siostrze, ta radziła iść na policję. Poszły nie mówiąc nadal nic rodzicom.

Podczas wizji lokalnej morderczynie powiedziała: „To jednak nie było całkiem tak, jak na filmach”. Co się nie zgadzało? Ano zabita nie pojawi się już nigdy „na żywo”, a śmierć na serio nie zawsze bywa tak sceniczna, jak w amerykańskich telewizyjnych opowiastkach kryminalnych. Ksiądz Stanisław, katecheta dziewczynek sumituje się: „Przy piątym przykazaniu, nie zabijaj widocznie nie dość dobrze wytłumaczyłem im, jak wielką wartością jest życie człowieka...”. Rodzice wołają milczeć, bo i co powiedzieć skoro tak się starali, by mieć pociechę z pociech.

W odpowiedzi na jedną z licznych ankiet młodzieniec XYZ przypominał prawdę banalną, a często zapominaną: „Filmy kryminalne są instruktażem popełniania przestępstw”. Jest jednak i inny aspekt owego bezwolnego zapatrzenia się w ekran. Pokolenie telewizyjne zatracca stopniowo a systematycznie poczucie rzeczywistości. Chłopak siada przed komputerem i startuje do wyścigu samochodem, wciąż dodaje gazu, rozwała po drodze wszystkie przeszkody, wypada z trasy, ale to się nie liczy, to przecież tylko gra, fajna zabawa w rozbijanie aut, wypadki, śmierć i kalectwo na niby. Potem rozgrzany młodzian siada za kierownicą autentycznego samochodu i wciąż dodaje gazu. Nawet nie zdąży się zorientować, że za błędy trzeba płacić nie punktami karnymi, lecz życiem.

Po tragedii wrocławskiej prasa przypominała inne bulwersujące przypadki agresji młodych. Na przykład 27 listopada 1996 r. pięcioro dzieci w wieku 11-16 lat podpaliło dwunastoletniego kolegę. W ciągu całego 1996 roku nieletni popełnili w Polsce 36 zabójstw i 3575 przestępstw.

Trzeci tydzień stycznia - grzech uwikłania w historii

Manipulowanie kombatantami

17 stycznia powrócono do dyskusji o wydarzeniu z 1945 roku. Czy tego dnia nastąpiło wyzwolenie Warszawy, czy tylko zajęcie gruzów le-

wobrzeżnej części Stolicy przez żołnierzy sowieckich i polskojęzycznych?

W Sejmie zebrali się głównie reprezentanci części środowisk Związku Kombatanów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych (ZKRPiBWP), obarczonego spadkiem po ZBOWiD. Organizatorzy spotkania powitali nawet bohaterów 1920 roku, żołnierzy Września, Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, ale łącznie można było się zorientować, że na sali przeważali alowcy, a w imieniu akowców głos zabrał ... prof. Kazimierz Kąkol i wyznał: „Tęsknimy do tego żebyśmy mogli w najbliższych wyborach zmobilizować dwa miliony elektoratu na rzecz Sojuszu Lewicy Demokratycznej”.

Zostawmy na boku trudne kwestie czysto kombatanckie, jak bolesna jest w ogóle starość w naszej Ojczyźnie w siódmym roku transformacji. Wciąż wiele potrzeb i skarg - w bardzo dużej części usprawiedliwione - wnosi środowisko niemal milionowe, jeśli do byłych żołnierzy i partyzantów dodamy osoby represjonowane, a przecież są jeszcze wśród nas także wywiezieni do prac przymusowych, wysiedleni, sieroty. Kombatancki podzielili się na ponad 150 związków i stowarzyszeń, rady, federacje, koła, kluby. Mozaika to zaiste wyjątkowa, której przybývá kolorów, choć tyle lat minęło od zakończenia II wojny światowej.

Z taśmy magnetofonowej spisałem co ciekawsze opinie wygłoszone na wspomnianym spotkaniu zorganizowanych przez Klub Poselski SLD, a odnoszące się do historii. Po rządach ekip Bieruta, Gomułki, Gierka, po dramatycznych latach osiemdziesiątych, po Wałęsie i kilku premierach od Tadeusza Mazowieckiego poczynając, po morzu atramentu wypisanym przez historyków nowszej i najnowszej generacji, po niekończących się dysputach telewizyjnych, radiowych i prasowych w dniu 17 stycznia 1997 roku w Sali Kolumnowej Sejmu III RP padły między innymi słowa oburzenia przeciwko prowadzeniu „wywrotowej i terrorystycznej działalności politycznego i zbrojnego podziemia skierowanego zwłaszcza w pierwszych latach po wyzwoleniu kraju przeciwko społeczeństwu i legalnym władzom legalnego państwa”. Grzmiano na odbieranie uprawnień kombatanckich za utrwalanie władzy ludowej, na zmiany patronów w wojsku i ulic w naszych miastach, na rewizje historyczne. Byłemu dostojnikowi zdarzył się taki oto lapsus: „Przypominam, że refren tego hymnu („Boże coś Polskę”) brzmi: „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie” i cała Polonia śpiewała Ojczyznę wolną pobłogosław Panie wbrew temu, co dzisiaj śpiewają w naszych kościołach”. Tenże sam mówca odwołał się do „plenum obrad sejmu”.

Ale wszystkich chyba przeliczył dyskutant, który uznał, że żyjemy „niby w wolnym kraju”. Czytaj w domyśle: w pełni wolnym krajem było PRL.

Trzy dni później na spotkaniu kombatanckim we Włocławku emerytowany pan pułkownik powiedział, że największy pluralizm polityczny był w Polsce w 1945 roku, a mącił wówczas ten błogi stan jedynie Londyn i stamtąd płynęły wezwania do buntu.

Trudno zaiste wyrwać się z uścisków historii. Ta uwaga odnosi się zresztą także do wielu osób z prawicy, w tym autorów określenia „polskojęzyczne wojsko” na armie idące od wschodu, dostrzegających w każdym żołnierzu z orłem na koronie wykonawcę woli NKWD. Padają wzajemne oskarżenia, odzywają bohaterskie wspomnienia, snują się senne marzenia. Na szczęście nie wszyscy pozostali w dawnych okopach, a życie płynie naprzód. Nie podzielałam opinii publicysty, że tylko przez zagapienie się nie odśpiewano na zakończenie tego spotkania „Międzynarodówki”. Część z obecnych gotowa była tak się zachować, ale wiemy przecież od czasów starożytnych, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. Nie od kombatanatów wyszła inicjatywa „zawalczenia” w gmachu Sejmu.

Czwarty tydzień stycznia - „Emigrant” psychiczny

Odwiedzają mnie istoty pozaziemskie

Nie wyglądał na „głupiego Jasia”, był przyzwoicie ubrany, ogolony, bez zapachu niemytego ciała i niepranej bielizny. Przyszedł na dyżur poselski, choć pogoda zachęcała raczej do siedzenia w domu. Ma dom, nie ma jednak już komu opowiadać swych historyjek. Tłumacząc się ze zbyt śmiałych pomysłów, poprosił o skontaktowanie go z panią minister od Prezydenta, by ta z kolei zechciała przysłać kamerę telewizyjną. On musi koniecznie przekazać rodakom bardzo ważne informacje i to szerokiej publiczności.

Odwiedzają go istoty zaziemskie, bez powłoki cielesnej. Informują, dają polecenia. Nie może nie słuchać duchów, choć wynikają z tych rozmów i sytuacje kłopotliwe, nakazy trudne do spełnienia. Weźmy przykład z wyjazdem do księdza w Gdańsku. Toć to kawał drogi, wstał jeszcze w nocy, jechał kilka dobrych godzin, a na miejscu okazało się, że szacownej osoby duchownej nie ma. Czekał na następną mszę i też nie

było, bo ten ksiądz dostojnik ma wiele do zrobienia poza murami kościelnymi. Tak i odczekał do obiadu, zjadł kanapkę, co ją zabrał jeszcze z domu, potem jeszcze warował dwie godziny i musiał skapitulować, bo z pociągiem umowy odrębnej przecież nie zawrzesz. Duch się pieklił nocą, on tłumaczył się mu gęsto.

Jeszcze gorzej wypadło z Marszałkiem. Ma do niego mój rozmówca szczególnie szacunek przez ojca, który poszedł na ochotnika walczyć w dwudziestym roku. Józef Piłsudski pod postacią ducha ruszał wąsem i tłumaczył nieco zawile, że trzeba lecieć nad jakąś tam wyspę na oceanie, znakiem rozpoznawczym będzie wieża, w niej tkwi wielka tajemnica. Panie Marszałku - odważył się zauważyć na wpół śpiący a wpół czuwający nawiedzony przez świętej pamięci pogromcę bolszewików - nie ma czym lecieć, to szmat drogi. Na to usłyszał: Pocałujcie mnie w dupę i macie lecieć! Jednak polecenia nie wykonał. Wstyd, bo gdyby tak ojciec się o tym dowiedział. On sam nie potrafi już pewnie mocniej ukochać Wodza, bo mu nieco rozkalibrowali rozum w Związku Młodzieży Wiejskiej i to jeszcze przed wojną. Dotkliwiej zaszkadzili temu biednemu człowiekowi ubowcy, zwłaszcza drań co zawsze z rana sprawdzał wytrzymałość muru uderzając głowami więźniów w cegły.

Strach kłaść się spać drogi panie - żali się pan X - bo jak jeszcze raz przyjdzie Marszałek i użyje siły, to co wtedy. A w ogóle to wstyd, wielki wstyd nie wypełnić woli takiego Polaka. Inna prawda, że wychodzić z domu też nie za dobrze, bo wokół złodziejstwo, chamstwo. Nagorzej rzeczy się mają z młodszymi. Koalicja siedzi jak kury na grzędzie, boją się spadać, jajek nie niosą. Jak dobry kogut wpadnie do czerwonozielonego kurnika wszystko pójdzie w ruch, w ruinę się obróci.

Boję się - zakończył pan X - że mnie ludzie mają za dziwaka, a to oni wszyscy dziwni, przedziwni. W Warszawie poziom wyższy, pani minister od Prezydenta może mnie zrozumie. Trzeba ostrzec Polaków, im szybciej tym lepiej. A Panu nic więcej nie powiem, wyglądasz mi Pan na niedowiarka.

Zapytałem jeszcze przed czym chce ostrzec rodaków. Zdenerwował się i szybko wyszedł. Zrozumiałem, że nie jestem godzien poznać najgłębszą tajemnicę jego życia, a przynajmniej nie jako pierwszy w państwie, przed panią minister. On wie już wszystko i to przeszkadza mu żyć normalnie.

Piąty tydzień stycznia, a pierwszy lutego

- grzechy grzeszne

Skalana niewinność

Nie po raz pierwszy, ale z dużą większą siłą niż poprzednio uderzono na alarm w dzwon. Panowie wykorzystują seksualnie dzieci. W Szczecinie zdemaskowano urzędnika wojewódzkiego, który zorganizował preceder z zastosowaniem komputerów, nowoczesnych systemów łączności, czyli prawdziwie „po europejsku”. Klientelę miał też w części spoza Polski, a w roli ofiar wystąpili rodzimi chłopcy. Pewnie wielu pedofilów zagłuszało własne sumienie teorią o wspomaganie biednych. Pewnie z kolei i co niektórzy chłopcy widzieli w tym układ przyzwoity, byle dostać na wrotki, bo emerytura matki nie wystarcza. A zresztą o co chodzi, przecież ofiary miały już ukończone 16 lat, więc wolność Tomku w tym domku.

Jakby dla rewanżu rzekomy filantrop z RP molestował seksualnie chłopców z domu dziecka na Litwie. Niósł im pomoc, a jakże. Z kolei władze litewskie zinterpretowały incydent jako jeszcze jeden dowód perfidii Polaków. Zwyrrodnienie, wydumane racje stanu, a w cieniu tragedii maluchów. Taką szkołę życia im zafundowano w świecie mnożących się organizacji międzynarodowych walczących o prawa człowieka, pięknych hasel, rzewnych zapewnień o miłości, braterstwie itp.

Inny jeszcze przykład. Ojciec kazał się rozebrać córce, potem ją bił po udach, krzyczał. Odbił stosunek przerywany bez prezerwatywy tłumacząc zapłakanej, że tak jest bezpiecznie. Za którymś razem zmienił metodę, zakładał „gumkę”, bił tylko wciąż tak samo silnie przy próbie oporu. Matka, gdy córka powiedziała jej o wyczynach ojca, nie uwierzyła. Brat domyślał się, ale wołał milczeć, może dojrzywała w nim fałszywie rozumiana solidarność męska. Wreszcie ktoś doniósł do prokuratury. Wówczas matka wyznała gwałconej, że ona padła w młodości też ofiarą napastliwości kuzyna. Zachowała wszystko w tajemnicy, by nie zepsuć sobie opinii. Koniec końców córka podczas przesłuchiwań odwołała wcześniejsze zeznania. Ojciec mnie - kłamała - tylko obmacywał. On łożył sumiennie na całą rodzinę, stara się...

Co na to prokurator? Powiedział dziennikarce, że za „komuny” w ogóle nie ujawniano przypadków seksualnego wykorzystywania nieletnich. Teraz jest postęp, już organy ścigania wdrażają postępowanie

wyjaśniające, a gdy nie ma wystarczających dowodów ustanawia się dozór kuratora. Sprawiedliwość triumfuje!

Można przytaczać inne przykłady ordynarnego draństwa i wyszukanego mędrzenia o przeszłości, okolicznościach, podtekstach. A na rynku staruszki sprzedają filmy pornograficzne z młodocianymi „aktorami” (za chlebem panie, za chlebem), prasa pisze o nauczycielach i milicjantach gwałcących dzieci, ludek opowiada dowcipy o „pedałach” i wyczynach osób „zasługujących na powszechny szacunek”. Więc może ucinać, jak postulował jeden z rozmówców. Tak dla odstraszenia. Niestety obawiam się, że samo pisanie też nie pomaga, może nawet zachęca do spróbowania. Wychowywać czy karać? Może nade wszystko demaskować, ośmieszać, drwić. Panie prokuratorze bogini sprawiedliwości ledwie podniosła powiekę, daleko do triumfu, choć komuna odeszła.

Pamiętam jak w latach dawno minionych za jazdę rowerem po pijaku trafiało się na czarną tablicę umieszczoną przy głównej ulicy miasteczka. Sąsiedzi mogli nie tylko odczytać imię i nazwisko, ale jeszcze obejrzeć zdjęcie pijackiej gęby. Dziś co najwyżej dowiedzą się, że W. S. gwałcił regularnie swą córkę, a „major” zorganizował międzynarodowy preceder seksualnego wykorzystywania chłopców. Zaiste pełna to demokracja, tyle że pokraczna.

ODPRYSKI

Wizyta niemal oficjalna

Odwiedził mnie w Hotelu Poselskim były wysoki urzędnik szczebla wojewódzkiego. Pochwalił Sejm obecnej kadencji, uzalił się nad premierem, zganilł opozycję. Mówił urywanymi zdaniem, bardzo wolno, gros czasu poświęcając na pałaszowanie ciasteczek. Wypił także herbatę, potem przygadał się do kielicha i w końcu przeszedł do meritum. Padło pytanie, czy nie mógłbym zatrudnić go w biurze poselskim. „No, bo wiecie kolego, emeryturę mam niską”. Z lat swego urzędowania przed 1975 rokiem zapamiętał maksymę: wskaźniki wzrostu to radość dla biednych, bo bogaci delektują się danymi o stanie faktycznym, a cieszą z szelestu banknotów.

(październik 1993 r.).

Dziwne przypadki

Na pierwsze dużyry poselskie przybywali głównie „zawodowcy”, którzy jednemu posłowi zabrali sporo godzin, a bywało że i nieco zdrowia. Są namolni, każą sobie poświadczać przedkładane memoriały i dzwonią lub przychodzą regularnie, by uzyskać „zadawalającą odpowiedź”. Dzielą się na orędowników spraw własnych i bezinteresownych zbawców świata.

„Perelki” trafiały się i w korespondencji wrzucanej do skrytek poselskich. „Na XII Zjeździe (partii bolszewickiej) zwyciężyła wiara w zbawcze działanie mechanizmów rynkowych. Jesienią 1923 roku powstał kryzys zbytu; powstał w społeczeństwie głodnym i obdartym. Formacja NEP-u występować zaczęła wspólnie ze świadomym odgradzaniem się od wszelkich doświadczeń komunizmu wojennego, jak i z równie świadomie dokonywaną absolutyzacją nepowskiego etapu rozwoju ...”. Dalej była mowa o działaniach jedynie słusznych, jedynie prawidłowych i jedynie możliwych. Stare ma się dobrze.

(listopad 1993 r.)

Nauka

Moje pierwsze wystąpienie sejmowe wynikało z dyskusji nad projektem ustawy o restytuowaniu Centralnego Okręgu Przemysłowego. Właściwie wszyscy posłowie z którymi rozmawiałem byli przeciwni, bo jakże może się udać zabieg reanimacji w pół wieku od zgonu. Ku mojemu jednak zdumieniu niemal też wszyscy przemawiający stawali na końcu znak zapytania, bo jednak... Okazało się, że do głosu zapisali się głównie posłowie z zainteresowanych województw i ci chcieli spłacić częściowo dług zaciągnięty podczas wyborów. Próbowałem upierać się przy odrzuceniu projektu po pierwszym już czytaniu i wówczas światłej radu udzielił mi stary wyjadacz parlamentarny: „K.... to jest prowokacja, dajmy projekt do komisji i tam niech zgnije w zapomnieniu”. Tak się i stało.

Adwentowe czuwanie

Po dniu kłótni i złośliwości sejmowych byliśmy na czuwaniu adwentowym w kościele św. Aleksandra. Chłopcy z KPN niemal czwórkami pomaszrowali do pierwszych ławek, a w dalszych przeważali „zieloni” przetykali z rzadka demokratami. Ks. M. Maliński mówił o prawdziwym autorytecie, a nie tym wspartym tytułem i pieczętką. Słowa kaznodziei dudniły w ciemnościach świątyni. Na koniec ksiądz powiedział: „Mówiono mi bym się nie zdiwił, gdy przyjdzie dwóch lub trzech posłów. Ja byłem optymistą i wziąłem 35 książeczek oraz tekstów kazania wygłoszonego w ubiegłą niedzielę. Okazuje się, że nie byłem dostatecznie wielkim optymistą i tych skromnych podarunków mi zabraknie”.

Przypadł mi tomik: „Przed zaśnięciem” i z niego przepisuję ten fragment: „Czyś ty się kiedy modlił o mądrość? A tyle razy o zdrowie, o to, aby udały się twoje sprawy, o ustrzeżenie ciebie i twoich bliskich od nieszczęścia. Bo tak ci się wydaje, że może ci nie dostawać zdrowia, powodzenia - ale mądrości ci nie brak”.

Wytrzymać

Szalone tempo pracy i narastająca nerwowość niszczą jednych, służą innym. Przygaśł premier Waldemar, siedzi wpatrzony przed siebie i tylko czasem zdobywa się na kwaśny uśmiech. Wiele z nas przyjęło pozę szczurów sejmowych, przemykamy się chyłkiem korytarzami z sali obrad plenarnych do pokojów hotelowych, z miejsc narad klubowych na spotkania komisji, na siusianie, jedzenie, powitanie gości z województwa. Ale są i panowie świetnie sobie radzący w takich chaosie, może celowo zwiększający zamęt, hałaśliwi, szukający sensacji lub zwady. Czy o nich mają mówić postronni obserwatorzy, że to najlepsi posłowie?

(styczeń 1994 r.)

Stare nawyki

W województwie mieliśmy koalicyjnie uzgodnić kandydaturę na zwolnione stanowisko. Pierwszy ruch wykonał partner. Przyniósł mi nazwisko kandydata i rzekł od niechcenia: „To do piętnastej czekamy na opinię”. Miałem trzy godziny czasu, nie znałem tej osoby, nie miałem z nią żadnych kontaktów. Ile będziemy się uczyć bycia w koalicji?

(styczeń 1994 r.)

Wypadek przy pracy

Było to głosowanie nad projektem ustawy budżetowej na 1994 r. KPN zgłosił wniosek o jej odrzucenie już na starcie. Posłowie pozostałych klubów opozycyjnych używali sobie ostro, ale zgodzili się na odesłanie obszernego elaboratu do komisji. Tak chciała oczywiście i koalicja. Tego ranka bolała mnie głowa, w dodatku wdałem się w rozmowy z sąsiadami i zagłosowałem ... jak posłowie KPN. Na szczęście przewaga „za” była druzgocąca, a wśród tych, co też się pomylili znalazł się sam J. O.

Z powodu błędu moje nazwisko po raz pierwszy pojawiło się w „Gazecie Wyborczej”. A tyle się wcześniej napracowałem w komisjach i u siebie w województwie (...).

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Drodzy rolnicy

Powiecie, że tak mówią teraz wszyscy, bo skamlą o chłopską taskawość, chcą zyskać zaufanie mieszkańców wsi przynajmniej do 21 września, kiedy pójdziecie do urn wyborczych. Czy pójdziecie? Wierzę, że w zdecydowanej większości TAK. Naprawdę nieobecni nie mają racji. Znacie pewnie ten dowcip o grającym w totolotka, który wielokrotnie błagał Pana Boga o wielką wygraną. Wreszcie za którymś razem Pan przemówił tymi oto słowy: Daj mi synu szansę, idź wypełnij kupon.

Dajcie sobie samym szansę i postawcie krzyżyk przy nazwisku kandydata, któremu ufacie. Czy ma być najpiękniejszy, najmądrzejszy, najbogatszy, najbrotniejszy, najbardziej wygadany, superstanowczy i ofiarny. Idealów nie ma na tym świecie. Moim zdaniem najważniejsze jest właśnie zaufanie. Niech daje wybrany gwarancję, że się Was nie wyrzeknie, nie będzie się wstydził polskiej wciąż niestety ubogiej wsi, nie zakpi nigdy przenigdy z umęczonego pracą rolnika, jego żony bez makijażu, z dzieci, obojścia. Niech będzie gotów przyjechać do białostockiej wsi na każde zaproszenie, podjąć się załatwiania spraw tak trudnych, że i święty Antoni miałby może kłopoty. Niech mu się śnią po nocach problemy polskiego rolnictwa. Nie musi być sam rolnikiem, musi jednak kochać naszą rodzinną ziemię prawie tak mocno jak oracz, siewca, żniwiarz. Nie kupujcie „w ciemno” nazwisk, mieliśmy przez lata przywożonych w teczkach sekretarzy i dyrektorów, teraz nastąpiła moda na o b w i e s z c z a n y c h zbawców narodu. Usłyszycie: „Ja wam ludzie gwarantuję, że to wspaniały kandydat na posta”, to odpowiedźcie: „Za dużo teraz w obiegu fałszywych weksli!”

Pomyślicie o mnie: i ty cwaniaku nie jesteś lepszy! Rzeczywiście nie jestem idealnym kandydatem. Jedno mogę wszakże oświadczyć bez mrugnienia okiem. Staratem się być z Wami na dobre i złe, w Sejmie, w rządzie, na uczelni, w mieście, jako dziennikarz, historyk, polityk. Przybywałem ilekroć ktoś mnie zaprosił do swej chaty, do świetlicy, szkoły, klubu. Słuchałem godzinami opowieści kombatanckich, skarg rolniczych, życzeń młodych, jak była okazja to i śpiewów, a jak była jeszcze większa okazja to i toastów. Stałych korepetycji udzielał mi szwagier borykający się z kłopotami hodowcy bydła, mądrą radą służył też bohater spod Kołobrzegu, o swych bólach opowiadała mama emerytka. Nie, już nie chodziłem jak dawniej z kosą w pole, rzadko miałem czas na grabienie i zwózkę siana, a tak lubię te zajęcia. To są koszty pracy w Warszawie, w domu zaś czekają dzieci, tylko najstarszy syn już się „wyzwolił” na księdza w podbiałostockiej parafii. Pisać trzeba nocą, odpoczywać w podróży. Postowanie to ciężka praca, wypada mieć odpowiednią porcję oleju w głowie, sporo sił, odwagi, doświadczenia. Jeszcze więc jedno mogę powiedzieć bez przesady: wiem jak to robić, przydałem się już w poprzednim Sejmie, nie macie żadnych powodów, by się wstydzić za to moje postowanie i moje ministrowanie. Staję ponownie do waszej dyspozycji, jestem gotów służyć Biało-

stoczyć się zwłaszcza braci rolniczej, mieszkańcom miasteczek. Z tych środowisk wyszedłem, one są mi najbliższe.

Czekacie pewnie Państwo na moje sprawozdania z minionej kadencji. Czy były to lata stracone? Nie, na pewno nie. Proszę rozejrzeć się wokół siebie, by stwierdzić ile nam przybyło kilometrów dróg, szos i wodociągów, ile telefonów, pojazdów wszelkiej maści, na ile poprawiło się wyposażenie naszych domów. Mówią w świecie, że Polska jest tygrysem ekonomicznym Europy, zazdroszczą nam szczerze takiego tempa wzrostu. Prawdą jest jednak bolesną, że najmniej ze wszystkich mieszkańców skorzystali rolnicy, zwłaszcza w ostatnich dwóch latach.

To przede wszystkim skutek słabości gremiów wspierających polskie rolnictwo, zatroskanych o los polskich wsi, gmin, miasteczek. Za mało było takich postów, polityków, działaczy, dziennikarzy, ludzi dobrej woli, którzy rozumieją, że Ojczyzna to najpierw ziemia, o nią trzeba zadbać, jak i o tych co ją za Bożym przyzwoleniem czynią sobie przychylną. O liczbie postów z poszczególnych ugrupowań zdecydowali przed czterema laty wyborcy, w tej liczbie i Ty szanowny Panie, droga Pani. Czy pamiętacie na kogo oddaliście swój głos. Jeśli nie na PSL, to żałujcie, bo zabrakło nam bardzo tych dodatkowych mandatów w głosowaniach decydujących o waszej pomyślności. Polskie Stronnictwo Ludowe osiągnęło przyzwolony wynik wyborczy, potem jednak się okazało, że nie ma w zasadzie w Sejmie innych rzeczników chłopów, zarówno na lewicy, jak i prawicy. Mówiąc dokładniej byli tacy, lecz gdy przyszło do głosowania ulegali większości w swoich klubach.

Tak przegraliśmy kilka bardzo ważnych ustaw, a przykładem ostatnim jest sprawa dopłat do paliwa rolniczego. Jeśli były poseł znów powie, że was bardzo kocha, to zapytajcie go dlaczego blokował ustawę o gospodarstwie rodzinnym, sprzeciwił się skuteczniejszej obronie polskiej własności rolnej, nie chciał zwiększenia budżetu Agencji Rynku Rolnego, czynił zamachy na renty rolnicze, wzbierał bezpłatnych udziałów gospodarzom dostarczającym produkty do zakładów przemysłu rolno-spożywczego, opowiedział się za droższą energią elektryczną dla Polski północno-wschodniej, wywinął przysłowiowego kota ogonem przy wprowadzaniu tańszego paliwa dla potrzeb rolniczych.

Tak mógłbym wymieniać długo. Po prostu większość sejmowa chciała, by po raz kolejny polska wieś polska zapłaciła za reformy, dała żywność poniżej kosztów produkcji, przyjęła nadmiar bezrobotnych, poczyniła oszczędności w szkołach, ośrodkach zdrowia, placówkach kultury. Protestowaliśmy, było nas za mało, a w dodatku prasa, radio i telewizja nie raczyły tego dostrzegać. Zapytajcie też naszych postów białostockich jak głosowali w sprawie religii w szkołach, konkordatu, przerywania ciąży, przy wszystkich ustawach mających wzmocnić gminy. Niech powiedzą prawdę, ta jest zawarta w wydrukach z głosowań. Było mi wstyd, że wielokrotnie przegrywałem fatalnie, bo 1 do 6. Niestety województwo, które nadal jest rolniczo-przemysłowym miało tylko jednego posta ludowca w Sejmie II kadencji.

Ci, którzy nie głosowali na PSL dziś nas najgłośniejsz oskarżają. Czy to sprawiedliwe? Z jakiego tytułu? Tam się bracie upominaj o procenty, gdzieś złożył kapitał. A może zależało ci tyl-

ko na tym, żeby sobie pośpiewać na ludowo i popatrzeć jak pięknieje zjednoczona Europa. Wybór należał do Pana i do Pani.

Część z Państwa oddała przed czterema laty głosy na Polskie Stronnictwo Ludowe, dzięki temu zostałem i ja posłem. Zaufała nam, a teraz twierdzi, że źle zrobiła. Ze spuszczoną głową słuchamy tych wyrzutów. Bijemy się w piersi, bo popełniliśmy i błędy (ten koronny to wpuszczenie w granice Polski za dużej ilości zboża), zabrakło tu i ówdzie determinacji, szwankowała dyscyplina, nie wszyscy nasi liderzy wytrwali w gorliwej służbie rolnictwu i wsi. Przepraszamy serdecznie. Ja czynię to osobiście zwłaszcza w odniesieniu do tych kombatanów i osób represjonowanych, którzy czują się pokrzywdzeni. Chyba jednak nie było szans na lepszą koalicję w tamtym Sejmie, zawiązaliśmy małżeństwo z rozsądku, miało ono i dobre strony. Znamy przecież tę prawdę, silniejszy bierze więcej. I wziął, my zostaliśmy z workiem spraw wciąż do załatwienia.

Jest jeszcze jedna zasada życiowa, błędów nie popełniają głównie ci, co nic nie robią, a jedynie komentują i szukają dziury w całym. Tacy znów dziś podnieśli głowy i gardłują oraz obiecują. Nie wiercie w gruszki na wierzbie. Nie wyrosną! Mam jednak nadzieję, że po namyśle dacie nam jeszcze raz szansę. Wiele się nauczyliśmy. To będzie nasza wspólna szansa. Pracowałem solidnie przez cztery lata, ale czas to zbyt krótki, by zakończyć wszystkie rozpoczęte sprawy. Stawiam się do Państwa dyspozycji ja i moi koledzy z listy numer 7. Jest z nami także kandydat na senatora wicewojewoda Grzegorz Rykowski. Nie oszczędzał się na funkcji, nie chował za plecy innych.

Chciałbym wrócić do Sejmu, pociągnąć ten wóz przez jeszcze jedną kadencję, odplacić się w ten sposób za zaufanie. Decyzja należy do Pana i do Pani. Proszę pamiętać, że grozi nam wszystkich jeszcze słabsza reprezentacja sił prochłopskich w nowym Sejmie. Z trudem obroniliśmy do tej pory rolnicze emerytury i renty, bo zdaniem liberałów za dużo państwo do nich dopłaca. W związku z koniecznością zmian budżetowych (powódź) można oczekiwać zamachu na niektóre kredyty rolnicze. Narasta zagrożenie odrzucenia wartości tradycyjnie polskich, w tym i wynikających z naszej wiary chrześcijańskiej. Nie ma wcale pewności, że wzrosną dochody rolników. A co z tzw. ścianą wschodnią, biedą w zagrodach chłopskich? Co z perspektywą dla dzieci wiejskich? Czy nasi ojcowie i nasze matki będą mogli w spokoju dożywać lat ziemskiego pielgrzymowania?

Staję przed Wami w tej chwili szczególnej i chylę głowę w geście pokory. Czekam Państwa decyzji w dniu 21 września.

(Jest to tekst listu przedwyborczego. Nie udało się, nie zostałem wybrany na posła, klęskę w całym kraju poniosło Polskie Stronnictwo Ludowe. Czy sprawdzi się czarny scenariusz w odniesieniu do losów wsi i rolnictwa? Zobaczymy. Dziękuję tym, co jeszcze raz oddali głos na PSL. Wierzę, że przy następnych wyborach będzie tych głosów więcej!)

**DZIĘKUJĘ ZA CZTERY LATA KONTAKTÓW POSELSKICH
I NIEMAL TYLE SAMO URZĘDOWYCH.
BĘDĘ WDZIĘCZNY ZA DALSZE KONTAKTY W SIEDZIBIE
BIAŁOSTOCKIEGO PSL
(UL. SIENKIEWICZA 22, TEL. 0-85 435-342),
NA UNIWERSYTECIE W BIAŁYMSTOKU
(INSTYTUT HISTORII, UL. LINIARSKIEGO 4).**